



SYRRENA

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW - HEBDOMADAIRE DES POLONAIS, LIBRES

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
20, rue Legendre, 20 — PARIS. (17^e)
Métro: Villiers Tel.: WAG 00-45

ROK IX — Nr 28/29 (378/379)
16 LIPCA — 16 JUILLET 1955

GENA 30 fr.
PRIX

Wiktor JUNOSZA

WEDŁUG CUDZEJ RECEPTY

Umieszczenie organu „katolików postępowych”, tygodnika „Dziś i Jutro”, a także książki czołowego przedstawiciela tego ruchu, Bolesława Piaseckiego, pt. „Zagadnienia Istotne” na indeksie wydawnictw, których czytanie wzbronione jest przez Święte Oficjum — stanowi dowód ostateczny, że przeprowadzana przez katolików „postępowych” próba pogodzenia komunizmu z chrześcijaństwem, próba udowodnienia, że można równocześnie zachować wierność zasadom Kościoła i przeprowadzać program „Frontu Narodowego” — zaprowadziła ich jedynie do odstępstwa od Wiary, do oddalenia się od zasadniczych dogmatów religii Chrystusowej.

Nie do nas należy krytyka (twierdzeń katolików „postępowych” z punktu widzenia teologii. Zresztą, zajęcie stanowiska przez Stolicę Apostolską automatycznie kwestię tą rozstrzyga. Warto jednak wspomnieć, że nawet w Kraju, mimo znanych trudności wypowiedzenia się przeciwko twierdzeniom głoszonym przez „postępowych katolików” — protestował już cały szereg pisarzy katolickich, protestowała już hierarchia kościelna. Ze więc mamy do czynienia z pewnym rodzajem herezji — nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Zamiarem naszym jest jednak podkreślenie innego aspektu tej nieprzyjemnej sprawy, rzucającego na nią bardzo charakterystyczne światło.

Do „katolików postępowych” można by podchodzić z pewnego rodzaju współczuciem, gdyby teorie ich były wynikiem własnych przemyśleń, skutkiem własnych, szarpających duszę wątpliwości, wyrazem własnych szczerych przekonań. Niestety, jest zgoła inaczej. Twier-

dzenia „katolików postępowych” nie są wcale ich wynalazkiem. Na długo przed ukazaniem się na arenie p. Piaseckiego i jego popleczników — wypracowane zostały... na Kremlu. Piasecki i spółka usiłują zachęcić społeczeństwo polskie do polknięcia pigułka komunistycznej

podając ją w katolickim opakowaniu ściśle według recepty, spreparowanej przez moskiewskie Politbiuro 30 lat temu, dla odciążenia społeczeństwa rosyjskiego od prawosławia i wpojenia weń, pod etykietą wierzeń religijnych — marksizmu-leninizmu.

Ryszard WRAGA

Jeszcze o Kiereńskim i «kierieńszczyźnie»

Dzisiaj jest wtorek 5 lipca, a poprzedni numer „Syrreny” ukazał się w czwartek, 30-go czerwca. Przez te parę dni miałem sporo rozmów i telefonów z powodu mego artykułu o roli „kierieńszczyzny” w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej.

Były to przeważnie opinie nieprzychylnie. „Po co pisać takie pesymistyczne rzeczy? Po co zatruwać i bez tego ciężką i ponurą atmosferę beznadziejnością i niewiarą w jutro? Skąd to można wiedzieć, jakie będzie jutro? A może coś się zmieni na lepsze? Gdy odebrał człowiekowi wiarę w to lepsze — jakże żyć będzie?”

Te argumenty ani mnie nie żenują ani nie dziwią. Któż z nas nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do tej naszej narodowej cechy pobierania najtrudniejszych decyzji wbrew faktom a nawet logice? Któż z nas nie wie, że jesteśmy zdolni do największych poświęceń, do najbardziej szalonego ryzyka, właśnie w imię „pobożnych życzeń”, z tą absurdalną, na niczym nie opartą wiarą, że przeciw poświęceniu nie może nie być przez los nagrodzone?

Nie wiem, czy warto nawet z tą polską cechą narodową walczyć, czy mamy prawo ją w sobie zabijać. Gdybyśmy ulegli materialistycznej zasadzie, że warunki bytu kształtują świadomość, to musielibyśmy w sobie zabić

wszystkie cechy rycerskie, cały pęd do wolności, musielibyśmy stać się masą niewolniczych oportunistów, wyrzec się wszystkiego co jest wielkie i wspaniałe i zejść do roli prawdziwych satelitów Rosji, Niemiec czy Zachodu.

O jakiejże to polskiej polityce realizmu można mówić patrząc na mapę Polski? Jakież to pokolenie polskie mogłoby przetrwać bez tej obłąkanej wiary w „lepsze jutro”? I pisząc o „kierieńskich” na pewno nie miałem na myśli zwalczania tego oportunisty, tej wiary, czy, jak to nazywają dzisiejsi „podskakiwacze” obcych potęg i teoretycy obcych agentur — donkiszoterii polskiej.

Nie było moją myślą szerzenie pesymizmu i niewiary chociażby dlatego, że nie wierzę w to, by można było w duszach zdrowych i — proszę mnie

W pierwszych latach po objęciu władzy nad dawnym imperium carów, bolszewicy usiłowali program swój zrealizować szybko i wcaleści, we wszystkich dziedzinach, a więc również i w dziedzinie religijnej: wymalowali na ścianach cerkwi hasło leninowskie: „religia — to opium ogłupiające lud”, i usiłowali przemocą wprowadzić ateizm. Gdy się okazało, że przywiązanie ludu rosyjskiego do „starych

Dokończenie na str. 4-tej

Janusz KOWALEWSKI

ORZEŁ I MRÓWKA

Widzieć świat z wysoko, z lotu orła, mieć rozległe horyzonty polityczne, a jednocześnie trzymać się ziemi jak mrówka: mocno, cierpliwie, pracowicie — taka powinna być nasza emigracja, tak pojmować swoje obowiązki wobec Kraju.

Patrząc z lotu ptaka, nie trudno spojrzeć że na świecie w ostatnim okresie zachodzą poważne zmiany. Wnioski z tych obserwacji, pozwalają nam żywić pewne nadzieje. Ale równocześnie nakładają na nas, wolnych Polaków, rzeźników ujarzmionego narodu, obowiązek zdwojenia czujności i jak najtwardszy przymus upartej codziennej pracy politycznej. Musimy zrobić wszystko, by pomóc idącej ku nam kołunkturze politycznej i nie stracić na darzących się dobrych okazjach, a zię osłabić. Mądrość życia w ogóle, a życia politycznego w szczególności polega na umiejętności wykorzystywania okazji.

19 maja, na konferencji prasowej, prezydent Eisenhower, zapytany, czy Stany Zjednoczone nie mają zamiaru uprawiać polityki ustępstw na konferencji czterech mocarstw — odpowiedział podniesionym głosem:

— Rząd nasz nie ma zamiaru dla chwilowych korzyści zdradzać praw innych narodów... Żaden Amerykanin nie posadza swego rządu o taką na-

iwność, by dał on się wciągnąć w pułapkę.

A w sześć tygodni potem, sekretarz Stanu, Dulles, powiedział:

— Stany Zjednoczone będą zyczyćliwie spoglądały na wszystko, co się przy czyni może do przywrócenia niepodległości narodom dziś satelickim.

W cztery dni później senator Knowland, przywódca republikanów w senacie, powiedział:

— Konferencja czterech mocarstw nie spełni swej roli, jeśli nie wymusi zgody Związku Sowieckiego na wolne wybory pod nadzorem Organizacji Narodów Zjednoczonych — w Czechosłowacji, Polsce, na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii.

A niedługo potem wszystkie te oświadczenia powtórzył, ciesząc się wielką popularnością w narodzie amerykańskim i bardzo czuły na głos opinii publicznej wiceprezydent Nixon...

A ostatnio, w miarę zbliżania się terminu Konferencji genewskiej, mówi się coraz więcej.

Słowa? Tak, słowa. Nie dostaliśmy od tych słów nagłego i słodkiego zawrotu głowy. Nam już niejedno słodkie słowo powiedziano i zaraz potem po jałtańsku wystawiono nas do wiatru. Toteż nic dziwnego, że słuchając teraz obietnic, podejrzliwie patrzmy mówiący w oczy.

Stwierdzić trzeba, że naród amerykański, naród decydujący w tej chwili o losach świata, rozumiał wagę problemu niewolnictwa na tym świecie. Czy zrozumienie to wyszło z pobudek moralnych, czy obaw o własne interesy — to sprawa inna. Faktem jest, że dzisiaj w społeczeństwie amerykańskim nie ma miejsca na atmosferę, w której by się rozdziły nastroje uległości wobec despotyzmu komunistycznego. Te czasy przeminęły z dymem pożarów koreańskich, spłynęły z krwią rewolucji berlińskiej i odeszły wraz ze Stalinem.

Dziś słowa prezydenta, że „żaden Amerykanin nie posadza swego rządu o taką naiwność, by dał on się wciągnąć w pułapkę (ustępstw)” — należy brać bez przenośni.

Dokończenie na str. 3-ciej

Przykra sprawa

B.D.I.C

Jeszcze trzy lata temu można było powiedzieć, że polski obóz niepodległościowy nie zaniedbuje ani spraw wewnętrznych ani spraw zagranicznych: Rada Narodowa, krzątając się gorliwie dokoła zagadnień domowych, wewnętrzno-emigracyjnych, poświęcała się z zapalem sztyfowej pracy budowy państwa na emigracji, a Rada Polityczna prowadziła politykę zagraniczną. I jakoś to szło. Choć byliśmy „rozbieli”.

Potem, mniej więcej przez rok — robiliśmy zjednoczenie narodowe. Na emigracji. Perspektywa zjednoczenia nas urzekła, wciągnęła całkowicie i bez rezerwy. Sprawy zagraniczne leżały przez ten czas odłogiem.

14 marca 1954 r. osiągamy cel — podpisujemy Akt Zjednoczenia. Panuje radość nie do opisania. Otwierają się przed nami — mówimy — nowe horyzonty. Wszyscy jesteśmy przekonani, że odtąd nasze wysiłki będą skierowane przede wszystkim na obronę sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

Była to jednak radość przedwczesna. Okazuje się, że na tę drogę jeszcze nie możemy wkroczyć. Mamy bowiem przed sobą sprawę znacznie ważniejszą do załatwienia. Od przeszło roku je stemy zapracowani bardziej niż kiedykolwiek: wprowadzamy w życie... Akt Zjednoczenia. I w związku z tym właśnie wygłaszamy na użytek wewnętrzny przemówienia. Prowadzimy dalsze pertraktacje. Spisujemy z rozmów protokoły. Następnie te protokoły analizujemy, zastanawiamy się nad każdym przecinkiem i nad każdą kropką. Potem zwołujemy zwyczajnie i nad zwyczajnie posiedzenia, by te protokoły zatwierdzić. Jednym słowem — mamy pełne ręce roboty. Na sprawy zagraniczne nie mamy czasu.

Tymczasem zbliża się termin konferencji genewskiej. W świecie coraz głośniejsze mówi się o europejskich narodach ujarzmionych. Komisja polityczna Zgromadzenia Europejskiego zatwierdziła sprawozdanie Francu za p. de Menthon, który — przed stawiając program jednoci Europy obejmującej i kraje wschodnio-europejskie — zajął wycofania się Rosji z krajów podbitych. Wycofania się, oczywiście, całkowitego. Byłoby bowiem sztyrdstem — powiada p. de Menthon — gdyby armia sowiecka opuściła Polskę pozostawiając w niej Rokossowski i jego oficerów. Zdaniem komisji politycznej Zgromadzenia Europejskiego rozmowy genewskie winny pójść właśnie w kierunku zadanania opuszczenia przez Sowietów krajów okupowanych.

Jest rzeczą jasną, że obowiązek ustawicznego domagania się takiego wycofania się Rosji spada w pierwszym rzędzie na emigrację polityczną. Toteż w moim mieniu tego obowiązku organizacja Narodów Ujarzmionych zwołała do Strasburga swe nadzwyczajne posiedzenie. My, Polacy, należymy do tej organizacji, mamy w niej swych przedstawicieli. Byliśmy więc przekonani, że głos ich będzie donośnym rozlegającym się z trybuny strasburskiej, że dotrze nie tylko do Waszyngtonu, Londynu i Paryża, ale także do Warszawy i do Moskwy. Ze zdumieniem jednak stwierdzamy, że naszych przedstawicieli w Strasburgu nie było. Reprezentowane były wszystkie ujarzmione narody. Byli obrońcy Albanii, Bułgarii, Estonii, Węgier, Łotwy, Litwy, Rumunii i Czechosłowacji. A Polaki? W obronie Polski występowali... zwolennicy Jałty.

Zajęci wprowadzaniem w życie Aktu Zjednoczenia, nie przecięliśmy zawczasu węzła gordyjskiego reprezentacji polskiej. Za skoczenia terminami, oburzeni na propozycje ograniczenia naszych mandatów do 3, na ogólną liczbę 5 Polaków (inne narody miały tylko po 4 mandaty) — o braziliśmy się i... postanowiliśmy to posiedzenie zbytkotować.

I — rzecz charakterystyczna — dokoła tej przykrej sprawy nagle zapanowała wstydliwa cisza. Nie ma żadnych oświadczeń, nie ma najmniejszych wzmiarki w prasie niepodległościowej. Choć zaniepokojona opinia publiczna oczekuje wyjaśnień.

Czy się doczeka — nie wiem. Może również zostanie zbytkotowana. St. PACZYŃSKI.

Wojciech ZALESKI

SIŁA I SŁAŁOŚĆ SOWIETÓW

Ludzie mają skłonność do wydawania skrajnych sądów pod wpływem zmiennych nastrojów, do przerzucania się od skrajnego optymizmu do skrajnego pesymizmu. Razi nas na przykład nastój opinii zachodniej, która w takich faktach jak traktat w sprawie przywrócenia (względnej...) niepodległości Austrii lub wizyta belgradzka Tity dopatruje się niemal objawów świadczących o... usunięciu sowieckiego zagrożenia. Ale z drugiej strony niebezpiecznie byłoby popadanie w nastrój wprost przeciwny, doszukiwanie się w komunizmie jakiejś siły demonicznej, która nieuchronnie musi doprowadzić do światowego zwycięstwa systemu sowieckiego.

Trzeba wobec tego stanu rzeczy zająć wyraźnie stanowisko, zwłaszcza jeżeli się przestrzega przed jednostronnym liczeniem na wyzwolenie kraju dzięki rychłej wojnie.

Paradoks sowieckiej siły i słabości polega na tym, że źródła ich są — wspólne. Fanatyzm agresywny postawiający „kapitalistyczne okrażenie” jest w pewnym stopniu wynikiem doktryny. Wiara w jej nieuchronne zwycięstwo każe mimo wielu niepowodzeń wytrwale dążyć do zdobycia władzy nad innymi narodami oraz nie ustawać w wysiłkach nad osłabieniem ich zdolności do obrony i przeciwdziałania.

W armii szykującej się do natarcia nie może być różnic zdań, dyskusji i rozbieżności poglądów. Przypomnijmy, że partia ustala, opierając się na niezmiennych zasadach leninizmu, nie tylko zapatrywania filozoficzne, teorie biologiczne, zasady psychologii i estetyki, ale także najlepszy w danej chwili obowiązujący system uprawy kukurydzy i wiele innych rzeczy. Otóż taki system jest bardzo dobry w czasie wojny, bardzo zły na czas długotrwałego pokoju.

Ktokolwiek styka się w swojej dziedzinie z pracami naukowymi sowieckimi, musi zwrócić uwagę na niestychane ich obciążenie wykładami oklepianych banałów agitacyjnych, które obowiązują mają wszystkich. Ile muszą się napocić np. pisarze ekonomiczni, by każdy teoretyczny wywód powiązać z idiotycznie sformułowanymi przez Stalina „podstawowymi prawami” socjalizmu i kapitalizmu! Ile muszą się także napocić studenci, by te wszystkie wywody wtłoczyć do swej pamięci z wielką szkoda dla swego roz-

woju umysłowego! Jest to swoista walka z inteligencją, ze zdolnością do samodzielnego myślenia, która musi na długi dystans wydać swe oplakane owoce. Jest ona uzupełniana walką w mniej przenośnym znaczeniu z tymi, którzy próbują osobiście się bronić przed skutkami ogłupiania i kończą w łagrach lub więzieniach.

Ten proces nie od razu i nie we wszystkich dziedzinach działa z jednakową siłą. Jego skutki były dotychczas neutralizowane przez niewątpliwie upowszechnienie wiedzy w porównaniu z dawną Rosją, przez wyjątkowo uprzywilejowanie materialne nauki twórczej itd. Ale z czasem musi on wywrzeć swój niszczący wpływ na samą „kulturę sowiecką” i bodaj już wywiera.

Dokończenie na str. 4-tej.

Tep.

SWOISTA LEKCJA HISTORII

Niejaki Adam Polewka na fali radiowej „Warszawa I” dał nam niedawno dość swoiście wykonaną lekcję historii, poświęcając swój felieton radiowy Krakowowi z okazji otwartych w dniu 1 czerwca „Dni Krakowa”.

Punktem wyjściowym rozważań autora felietonu była zacytowana przez niego sentencja mickiewiczowska, że „w przeszłość należy się cofać o tyle, o ile to jest potrzebne do skoku w przyszłość”. Można oczywiście przyjąć taki punkt widzenia dość zwięzając rolę przeszłości i historii, traktując zacytowane powiedzenie naszego wieszcza jako pewną oryginalną myśl, wypowiedzianą trochę w formie paradoksu.

Pan Polewka wyciąga z tej maksymy zgoła inne wnioski. Dla niego cofanie się w przeszłość i grzebanie w lamusie historii, to okazja do wylewania pomyj na własny naród, na jego historię, przeszłość, na dawną stolicę itp. Oczywiście nie wiemy, kim jest pan Polewka i czy jest on Polakiem czy też tylko t. zw. „d.o.p.” t. j. „pełniącym obowiązki Polaka”. W tym drugim wypadku sprawa byłaby uproszczona i właściwie nie warto by było na ten temat się rozpisywać.

Zalóżmy jednak, że mamy do czynienia z Polakiem chociażby już przez sam fakt, że władza on pięknym języ-

kiem polskim i nie ma pod tym względem trudności, jakie się przydarzają chociażby otoczeniu Rokossowskiego.

Cóż dalej, po tym mickiewiczowskim wstępie, prawi pan Polewka?

Z wyraźną wstrzemięźliwością przed stawiający kilka skąpych szczegółów ilustrujących świetną przeszłość miasta, o którym zresztą sam mówi słowami kronikarza jako o „totiis Poloniae urbs celeberrima”, nasz propagandzista reżymowy zagłębia się z lubością w ciemne strony historii, t. j. w schyłkowy okres XVII i XVIII wieku, przechodząc następnie do okresu lat rozbiorowych. I tutaj zaczyna pana Polewkę ponosić. Słownik jego nabiera kolorów i jedności. Gromy ciskane na społeczeństwo polskie — na patrycjat krakowski, o którego roli w przeszłości w walce o przechowanie nienaruszonego skarbowi polskiej kultury każde dziecko w Polsce powinno wiedzieć — w ustach Polewki wyrażają się w dosadnym określeniu... „koitun”, „żałosny koitun” i jeszcze raz „koitunski”... W dalszym ciągu tenże „koitun” (mieszkaniec Krakowa), dla odmiany w barwach „czarno-żółtych” (C.K.) przeradza się w okresie międzywojennym w nowoczesnego bourgeois i „uformuje narodowe, narodowo-klerykalne, a następnie faszystowskie szes-

Dokończenie na str. 5-ej

OREDZIE EISENHOWERA DO NARODÓW UJARZMIONYCH

Z okazji 5-tej rocznicy „Radia Wolnej Europy” prez. Stanów Zjednoczonych wygłosił oredzie do narodów w niewoli sowieckiej, w którym „składa im hołd za ich umiłowanie wolności”.

Równocześnie sekretarz Stanu Dulles oświadczył: „Długie lata ucisku komunistycznego nie zdolały zagasić ducha wolności ujarzmionych narodów. Tym, który ducha tego podtrzymują, przesyłam pozdrowienia za pośrednictwem Radia Wolnej Europy”.

Przywódca Republikanów w senacie amerykańskim, senator Knowland stwierdził w przemówieniu, że nie będzie prawdziwego zmniejszenia napięcia międzynarodowego, dopóki narody zwane satelickimi nie otrzymają zupełnej swobody zadecydowania o swym ustroju w prawdziwie wolnych wyborach. Przypomniał dalej, że z 52 zawartych traktatów Rosja złamała dotychczas 50. Stany Zjednoczone nie poświęcą wolności żadnego narodu za cenę „jeszcze jednego układu”.

7P 2156

NAUKA BELGRADU

Wielkie przyjęcie w ambasadzie sowieckiej, wydane przez Chruszczewa i Bułganina, zakończyło wizytę delegacji sowieckiej w Jugosławii. Sztuczna atmosfera pierwszych dni znikła, a jej miejsce zajęły serdeczne stosunki między gospodarzami i gośćmi. Wzniesiono wiele toastów na cześć „braterskiej współpracy” rozdzielenych — od 1948 roku — galezi ruchu komunistycznego. Wspólny komunikat, podpisany przez Titę i Bułganina, zatwierdził istniejący spór, i przypieczętował osiągniętą „normalizację stosunków”.

Następnego dnia delegacja sowiecka wyjechała do Sofii, gdzie Chruszczew złożył następujące oświadczenie: „Nasze stosunki z Titą są znów normalne. Konsolidacja stosunków między ZSRR i Jugosławią jest zgodna z interesami klasy pracującej wszystkich krajów”.

To oświadczenie sekretarza generalnego Kompartii sowieckiej streszcza główne wyniki spotkania w Belgradzie. Wszystkie inne klauzule podpisanego układu zakreślają tylko sposób i metody współpracy w „obozie socjalistycznym”.

Normalizacja stosunków z Jugosławią Tity była głównym celem Moskwy, która gotowa była zapłacić za nią nawet upokarzającym „wyznaniem” Chruszczewa w jego mowie powitalnej. Był to osobisty tryumf Tity. Nie była to jednak porażka Sowietów, jak to wielu korespondentów zachodnich dowodziło w swych raportach.

Bardzo charakterystyczne jest to, że we wspólnym oświadczeniu, wydanym przy końcu rokowań w Belgradzie, artykuły, dotyczące „zasad”, są do przyjęcia dla Zachodu — oczywiście, w interpretacji zachodniej — podczas gdy układy w realnych, określonych sprawach, mają znaczenie niewątpliwie anty-zachodnie. Tito, który nie godził się nigdy na złożenie pisemnego zobowiązania w stosunkach z mocarstwami zachodnimi, teraz zobowiązał się, że Jugosławia będzie popierała wysiłki Chin komunistycznych w kierunku przyjęcia ich do Organizacji Narodów Zjednoczonych; uroczyście potwierdził prawa „Ludowej Republiki Chin” w odniesieniu do Formozy; Tito poparł w zupełności postanowienia konferencji w Bandungu, godzące w interesy Wielkiej Brytanii i Francji. Zobowiązał się również, że nie przystąpi do organizacji obrony NATO, która według wspólnego oświadczenia przedstawia „blok wojskowy, zwiększający napięcie międzynarodowe, podkopujący zaufanie wśród narodów i zwiększający niebezpieczeństwo wojny”.

Największą częścią uzgodnionych „zasad” stanowią dokładne powtórzenie słynnych „pięciu zasad”, zatwierdzonych w ubiegłym roku przez Czu En-lai i Nehru i powtórzonych w postanowieniach w Bandungu. Te „pięć zasad” — są to wzniosłe idee, nadszywane przez przewrotną interpretację sowiecką. Tito najwiedźliwiej zapomniał, że Bułganin przed wizytą w Belgradzie przewodniczył na zebraniu krajów satelickich i ZSRR w Warszawie, gdzie został utworzony wschodni blok wojskowy.

W czasie ostatnich rokowań omawiano dwa bardzo ważne zagadnienia — o których nie ma wzmianki w wspólnym komunikacie: „1) zgoda Tity na zmniejszenie armii jugosłowiańskiej i 2) federacja bałkańska. W obydwu sprawach zawarte zostały układy o dużym znaczeniu.

W przemówieniu do Pierwszej Brygady Proletariackiej, składającej się z byłych partyzantów Tity, Tito stwierdził, że odprężenie w stosunkach międzynarodowych pozwala na zmniejszenie armii jugosłowiańskiej. Oznajmił równocześnie, że zdemobilizowani oficerowie będą użyci do zastąpienia „nieodpowiedzialnych elementów” w służbie państwowej i w przemyśle.

Pogróżka została wprowadzona w czyn bez zwłoki, w czasie pobytu delegacji sowieckiej w Jugosławii. Katołicy i krewni uchodźców politycznych są uważani za najbardziej „nieodpowiedzialny element”. Ministerstwo spraw wewnętrznych rządu Chorwacji sporządziło listę około 1.000 osób, które mają utracić pracę. Zwalnianie przeprowadza się według następującej klasyfikacji: 1) katołicy praktykujący; 2) ci, których żony lub dzieci są praktykujący; 3) ci, którzy otrzymali wykształcenie zawodowe w szkołach lub uniwersytetach katolickich.

Podobną akcję przygotowuje się w Serbii, gdzie następujące klasy osób uważane są za „nieodpowiedzialne”: 1) ci, którzy należą do rodzin „kapitalistycznych”, które dawniej rządziły w Jugosławii; 2) ci, którzy mają krewnych na wygnaniu na Zachodzie; 3) ci, którzy nie interesują się czynnie popieraniem „socializmu” w Jugosławii; 4) ludzie, niezdolni umysłowo do zrozumienia doktryny marksizmu-leninizmu (sic!).

Nowa fala prześladowań jest pierwszym realnym wynikiem pojednania sowiecko-titowskiego. Jedną z głównych przyczyn napięcia między Moskwą i Belgradem, które doprowadziło w 1948 roku do wyrzucenia Tity z Kominformu, było zagadnienie „Federacji Bałkańskiej”. Stalin zgodził się początkowo na ten pomysł, popierany silnie przez Titę i Dimitrowa. Nieżyjący dziś satrapa komunistyczny zdecydował jednak ostentacyjnie, że bezpośrednie podporządo-

wanie pojedynczych krajów panowaniu sowieckiemu było bardziej użyteczne. Tito sprzeciwił się tej zmianie zdania na Kremlu — i stał się na lata wrogiem nr. 1 świata bolszewickiego; Dimitrow ustąpił i zmarł w Moskwie w podejrzanych okolicznościach.

Obecnie idea „Federacji Bałkańskiej” została podjęta na nowo przez Moskwę w nadziei, że ściślejszy związek Jugosławii i Bułgarii, gdzie wpływy sowieckie są duże, może doprowadzić do stopniowego stopienia się „schizmatycznej” Titowii z „ortodoksyjnym” komunizmem międzynarodowym, na którego czele stoi Kompartia sowiecka.

Na razie Chruszczew zgodził się na „braterską współpracę” na podstawie pełnej równości między „różnymi” systemami socjalistycznymi. Dziwna „równość”, przypominająca popularną anegdotkę o pasteczce zrobionym „w równych częściach” z wołowyń i baraniny — proporcja: 1 wół — 1 baran. Najbliższe miesiące okażą praktyczne wyniki „normalizacji stosunków”.

Ażby oczyścić stół przed spotkaniem Wielkiej Czwórki, przywódcy sowieccy zakończyli swoją podróż bałkańską w Bukareszcie, gdzie znajduje się główna kwatery Kominformu. Ta niesławna organizacja przestała być potrzebna po zreorganizowaniu współpracy między krajami, rządzonymi przez komunistów, w ramach ostatniego traktatu warszawskiego. Kominform ma być rozwiązany. Sprytny wybieg, który z pewnością wprowadził w błąd wielu łatwowiernych na Zachodzie.

A. P. S.

CO SŁYCHAĆ W POLSCE

W SŁUŻBIE POLITYKI KREMLA
Prasa krajowa z ostatniego tygodnia bardzo mało miejsca mogła poświęcić zagadnieniom polskim. Musiała pełne strony poświęcić sprawom znacznie dla niej ważniejszym, mianowicie rozlicznym przejawom „ofensywy pokoju”, rozpoczętej przez dyplomację sowiecką. Przemówienie Mołotowa w San Francisco, kongres „międzynarodowych sił pokoju” w Helsinkach, przygotowania do międzynarodowego festiwalu młodzieży, na którym, jak podają z góry, żądać się będzie zniszczenia amerykańskich bomb atomowych, przyjęcia moskiewskiego planu „zborowego bezpieczeństwa” etc., — oraz wizyty p. Nehru w stolicach bloku wschodniego — odsunęły daleko w cień... nawet plan pięcioletni i nawet wyroki śmierci na „zdrajców i sabotażystów”.

Nehru był i w Warszawie; stał się „obywatelem honorowym” polskiej stolicy. Ale nie za zasługi, położone dla Polski. Czytamy w „Trybunie Ludu”: „Wraz z krajami obozu socjalizmu, wraz z setkami milionów ludzi na całym świecie naród i rząd hinduski walczą o zakaz broni atomowej i wodoro-wej. Indie popierają wieloletnią walkę Związku Radzieckiego o redukcję zbrojeń i sił zbrojnych”. Poza tym — Nehru walczy o dopuszczenie do Organizacji Narodów Zjednoczonych komunistycznych Chin. Tego musi wystarczyć, by ludność polskich miast i wsi obcytywała go kwiatami i wręczała mu cenne podarki!

STARY WILK MORSKI!

Walka o pokój, to jedno, a zbrojenia — to zupełnie inna rzecz.

O nich się w Warszawie nie zapomina. Dlatego też „Dni morza” nie obyły się bez wielkiej parady floty, a także defilady wszystkich rodzajów broni marynarki wojennej do których dołączyli się, chyba żeby podkreślić swego ducha bojowego, również pracownicy stoczni, żałogi statków handlowych i rybackich.

Przy okazji warto wspomnieć, że po trzech kolejnych admirałach rosyjskich, dowództwo nad marynarką wojenną objął nareszcie Polak, komandor Zdzisław Studziński, mianowany zresztą jednocześnie kontr-admirałem.

Kariera tego „wilka morskowego” jest dość charakterystyczna. Był robotnikiem w Łodzi. Po wojnie 1939-1945 wysłano go, jako agitatora komunistycznego, na wieś, by zachęcał chłopów do tworzenia kolchozów. Ponieważ położył na tym polu wybitne zasługi i wykazał się swoistą „energiją” — więc w nagrodę zakwalifikowano go do... szkoły podoficerskiej. Stamtąd poszedł już prostą — polbrukowską — drogą szybko naprzód. Kilka lat wykazywania się umiejętnością krzewienia marksizmu-leninizmu z kandydata na podoficera uczyniło kontr-admirałem.

Bitwę o budowę socjalizmu na okrętach wojennych potrafi on prowadzić z całą pewnością! A jakby przyszło do bitwy innego rodzaju — to przecie wtedy dowodzić będą Rosjanie!

TEORIA I PRAKTYKA

Wysuwając na czoło tak znakomitych fachowców, reżym nie powinien się dziwić, że wszystko wciąż

Rokowania sowiecko-japońskie w Londynie

Dyplomacja sowiecka robi duże wysiłki celem wzmocnienia pozycji Z.S.S.R. przed spotkaniem Wielkiej Czwórki. Po Wiedniu (ostateczne zatwierdzenie zagadnienia Austrii), Warszawie (utworzenie politycznego i wojskowego bloku czerwonego), w Londynie odbywają się rokowania, mające zakończyć „wojnę” między Związkiem Sowieckim i Japonią.

Mołotow sprzeciwiał się do niedawna wszelkim usiłowaniom dościa do porozumienia z Japonią, uważaną w Moskwie za „kolonię” amerykańską. Ku ogólnemu zdziwieniu, wezwaniu nowego premiera japońskiego, Hakoyama, po ostatnich wyborach ogólnych, do normalizacji stosunków z blokiem czerwonym, zostało chętnie podjęte przez rząd sowiecki, a Londyn wyznaczony jako miejsce dla rozmów pokojowych. Ambasador sowiecki w Londynie p. Malik, jest przewodniczącym delegacji sowieckiej, p. Matsumoto reprezentuje Japonię.

Korespondent londyński A.P.S. Chicago zwrócił się do delegacji japońskiej o informacje i bardziej szczegółowe wyjaśnienie głównych celów rozmów londyńskich.

„Jesteśmy zaledwie na samym początku rozmów, które muszą trwać dłuższy czas” — brzmiała odpowiedź delegata Japonii. „Jest bardzo wiele skomplikowanych problemów do przestudiowania i omówienia. Rozwój ogólnej sytuacji międzynarodowej może również w wielkim stopniu wpłynąć na przebieg naszych rozmów. Chcemy dojść do porozumienia i „normalizacji stosunków” ze wszystkimi krajami na zasadzie żywotnych interesów Japonii, mając na uwadze nasze realne możliwości. Rozumie pan dobrze, że w obecnym stadium rozmów nie jest właściwą rzeczą wliczać problemy i sprawy, mające być przedmiotem rokowań”.

P. Shigemitsu wyjawiał jednak na niedawnej konferencji prasowej dwa ważne dezerytary Japonii: 1) możliwie szybkie zwolnienie japońskich jeńców wojennych i 2) prawa rybackie dla obywateli japońskich.

„Są to dwa naprawdę najpilniejsze problemy. Wiele tysięcy rodzin w Japonii ma krewnych w ZSRR. Opinia publiczna silnie interesuje się możliwością ich szybkiego powrotu”. Nie mniej ważnym problemem dla Japonii jest normalizacja stosunków handlowych z ZSRR i jeszcze bardziej z Chinami. Przeludniona Japonia szuka rynków dla eksportu produktów swego przemysłu w zamian za tanie surowce.

Najtrudniejsze punkty rokowań sowiecko-japońskich dotyczą pretensji

Japonii do jej dawnych terytoriów, zajętych przez Sowietów w 1945 roku, — a mianowicie Sachalinu Południowego, Wysp Kurulskich, jak również Habo-mai i Shikotan.

Japończycy wiedzą dobrze, że Moskwa nie odda zajętych obszarów bez wielkich ustępstw ze strony Japonii w innych sprawach, zwłaszcza w odniesieniu do zależności Japonii od Stanów Zjednoczonych.

Wydaje się całkiem pewne, że Japończycy dążą na razie, przed spotka-

niem Wielkiej Czwórki, do przeciągnięcia głównych rozmów pokojowych, ograniczając je do zagadnień najpilniejszych. Znalazło to pełny wyraz w propozycji zrobionej przez p. Matsumoto przedstawicielowi sowieckiemu, ażeby odbywać dwugodzinne spotkania trzy razy w tygodniu. W porównaniu z obywatelką pracą, którą się ma wykonać, jest to tempo bardzo powolne. W międzyczasie delegacja japońska może „czekać i patrzeć”.

A. P. S.

NOWA „CHOROBA” W POLSCE: „NIECZULICA”

Komunistyczna prasa i radio w Polsce rozpoczęły energiczną kampanię przeciw nowej „chorobie”, która wedle opinii komunistów ma raczej charakter społeczny niż fizyczny. Chorobie tej nadaje się nazwę „nieczulica”, pod czym rozumie się postawę obojętności wobec wszystkiego, co reżym narzuca polskiemu społeczeństwu. Komunistyczni autorzy artykułów prasowych i radiowych skarżą się, że choroba rozpowszechniona jest wśród

GDZIE JEST KARD. WYSZYŃSKI?

Pytanie to stawia organ Stolicy Apostolskiej, „Osservatore Romano” w artykule poświęconym omówieniu położeń Kościoła w Polsce. Podkreślając, iż nie pewnego o losach Prymasa Polski na Zachodzie nie wiadomo, organ Watykanu oświadcza, że według pogłosek, komuniści wywierają nacisk na uwłonego Prymasa, obiecując mu wolność — oczywiście względnie — jeśli ogłosi on, że religia nie jest w Polsce prześladowana. Kardynał, oczywiście, odmawia złożenia podobnego kłamliwego oświadczenia.

Jeśli chodzi o działalność t. zw. katołków „postępowych” — „Osservatore Romano” twierdzi, iż jest to planowa akcja, mająca na celu doprowadzić do rozkładu sił katolickich, stawiących opór sowietyzacji, i usiłująca pozbawić katolicyzm wewnętrznej treści przy zachowaniu na zewnątrz pozorów.

Następny numer ukazuje się z datą 30 lipca br.

Wiadomości wojskowe

POKAZ LOTNICZY W MOSKWIE. — Z okazji „dnia lotnika” w Tuszyńcu pod Moskwą odbył się wielki pokaz lotniczy, podczas którego zademonstrowano m. in. odrzutowy samolot transportowy o skrzydłach, zagiętych do tyłu, dwusilnikowy helikopter, szybowiec, poruszający skrzydłami na podobieństwo ptaka, odrzutowiec „międzykontynentalne” oraz nowy typ odrzutowego myśliwca o szybkości większej od dźwięku. Bardzo efektownym było lądowanie wielkiego helikoptera, z którego wybiegł oddział wojska, liczący około 30 ludzi, i wyjechał ciągnik z lekkim działem artyleryjskim.

ARMIA NIEMIECKA. — Siły zbrojne Niemiec zachodnich mają się składać z kadry ochotniczej (150.000) i poborowych (350.000). Utworzą oni 12 dywizji (6 pancernych, 4 zmechanizowane i 2 zmotoryzowanej piechoty). Mun-dury będą wzoru amerykańskiego, broń

i wyekwipowanie amerykańskie. Już zaciągnięto do wojska około 145.000 Niemców. Zgłasza się ich ostatnio około 1000 dziennie. Są to w większości wypadków dawni oficerowie i podoficerowie.

PEKIN NIEZADOWOLONY. — Radio pekińskie podało z burzeniem, że 7-ma flota amerykańska przeprowadziła manewry w pobliżu wysepki, zajętych przez czerwonych Chińczyków. Określiło to jako „przejaw przygotowań wojennych Stanów Zjednoczonych w rejonie Formozy”.

FRANCJA. — Zespół instruktorów spadochroniarstwa pod kierunkiem poruczników Bongout i Joyeux pobili rekord światowy skoku grupowego, ustanowiony przez Rosjan. Francuzi uzyskali 6800 rzeczywistego spadku bez pomocy inhalatorów, podczas gdy rekord sowiecki wynosił 6500 m. z użyciem inhalatorów.

wszystkich warstw polskiego społeczeństwa. Dotknęła ona młodzież, dorosłych oraz osoby starsze, nie wyłączając wysoko w hierarchii postawionych dyrektorów i kierowników różnych upaństwowionych przedsiębiorstw.

Komentator radia warszawskiego, Henryk Korotyński, zaatakował ostatnio „chorobę” i określił jej objawy następująco: nieczulica charakteryzuje się tym, że ofiary jej wydają się nie troszczyć o nic, co się dzieje dookoła nich. Są one tak zmartwione i zmęczone usiłowaniem zarobienia na skromne utrzymanie, że po prostu nie są już zainteresowane niczym innym. Do nieco innej kategorii należą ci „chorzy na nieczulicę”, których jedynym celem jest zarabianie i wydawać ile tylko jest możliwe, a pracować i dawać ze siebie w zamian za to jak najmniej.

Wreszcie są także tacy, u których choroba objawia się udawaniem głuchoty wobec propagandy reżymowej, która nakłania ich do „produkcowania coraz więcej”. Nawet dyrektorzy upaństwowionych przedsiębiorstw gospodarczych nie troszczą się o zachowanie swoich podwładnych do samodzielnego myślenia, podejmowania inicjatyw, krytycyzmu i dyskusowania zagadnień. Między kierownictwem u góry, a masą robotniczą powstała przepaść, gdyż skargi robotników na różne niedomogania pozostają niezauważone.

Wedle dziennika „Życie Warszawy” najbardziej tragicznie przedstawia się los osób, mających do czynienia z komunistycznymi dygnitarzami, chorymi na „nieczulicę”. Chodzi mianowicie o tych obywateli polskich, którzy kiedyś byli niesłusznie uwięzieni i z tego tytułu nie mogą obecnie znaleźć odpowiedniej pracy. Są między nimi osoby, należące do dawnych tzw. wyższych grup społecznych. Kiedy indziej chodzi o byłych członków Armii Krajowej. „Życie Warszawy” przypomina, że organ ideologiczny Partii, „Miesięcznik „Nowe Drogi”, domagał się w grudniu 1954 r. położenia kresu niesłusznemu różniczkowaniu obywateli na lepszych i gorszych. Dygnitarze partyjni odnieśli się do tego wezwania jak chorzy na „nieczulicę”. „Życie Warszawy” podkreśla, że ze wszystkich objawów „nieczulicy” najgorsze jest niechętnie odnoszenie się ogółu obywateli do instrukcji partyjnych.

(REP)

Na Skarb złóż składkę w przeświadczeniu, żeś się przysłużył Zjednoczeniu.

chroma. Weźmy choćby przewidziane teoretycznym planem obrzytnie prace melioracyjne. Przeznaczono na ten cel w budżecie tegorocznym ponad 1 miliard 100 milionów złotych. Sumę tę przeznaczono na zmeliorowanie łąk i pastwisk na obszarze 130 tys. ha, na zagospodarowanie pomelioracyjne 115 tys. ha, na nawodnienie 45 tys. ha, na konserwację urządzeń wodno-melioracyjnych na powierzchni ponad 2 milionów 200 tys. ha etc. etc.

Jak te cyfry pięknie brzmią! Lecz to jest teoria. A praktyka? Oto czytamy: „...Jest niemało czynników utrudniających rozruch prac i nadrobienie straconych dni. Dokumentacja przychodzi z opóźnieniem. W dziedzinie zaopatrzenia materiałowego występuje szereg braków, mogących poważnie zagrażać wykonawstwu planów”. Między innymi: „Duże zastrzeżenia budzi jakoś rurek. W niektórych wypadkach zarządy wodno-melioracyjne reklamować muszą aż 50 proc. otrzymanych materiałów”. Dalej: „C.Z. Gospodarki Maszynami i Ministerstwo Handlu zagranicznym za zaplanowaną ilość 25 koparek dostarczyły dotychczas jedynie 10, na 28 spycharek — 10, na 15 plugów do kopania rowów melioracyjnych — 4, a na 18 pogłębiarek — nie dostarczyły ani jednej”.

To nie wszystko: „Na Kuwasach ani Komitet Wojewódzki Frontu Narodowego, ani Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej nie podjęły odpowiednich kroków by zmobilizować masy chłopie do czynu melioracyjnego. Równie niepomysłnie kształtuje się sytuacja na terenie kanału Wleprz-Krzna i na terenie Moście-Błot. I w inwestycji lubelskiej i w inwestycji gdańskiej znikoma tylko część prac ma być wykonana w tegorocznym czynnie melioracyjnym”.

I konkluzja: „Chodzi o to, by piękne słowa zawarte w programach nie rozmięły się z czynami”.

Przepraszam! Gdy się stawia na czele „Komitetów”, „Rad” i zakładów przemysłowych specjalistów od wygłaszania pięknych słów o marksizmie-leninizmie, to nie wolno żądać od nich, by fabrykowali koparki, spycharki i pogłębiarki.

Znając na tym, jak... admirał Studziński na marynarce wojennej!

REŻYM — A NARÓD

Zajęta trochę niewykonaniem planu melioracji... i szeregu innych „planów”, zajęta wielce walką o „pax sovietica” — prasa reżymowa ani słówkiem nie wspomniała o śmierci ks. arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, metropolity wileńskiego. Jedynie radio warszawskie podało krótką wiadomość — dopiero po pogrzebie, mówiąc o jakiejś nieistniejącej „diecezji białostockiej”. Jak się dowiadujemy inną drogą, pogrzeb metropolity wileńskiego, który przebywał na skrawku dawnej swej diecezji, w Białymstoku — stał się wielką manifestacją narodową. Przez trzy dni przez stary kościół, w którym ustawiona była trumna, przeszły niezliczone tłumy wiernych, przybyłych ze wszystkich krańców Polski. Przybyli również ordynariusze i sufragani ze wszystkich diecezji, z przewodniczącym episkopatu ks. biskupem Klepacem na czele.

Pogrzeb arcybiskupa Jałbrzykowskiego stał się okazją zadokumentowania przywiązania całego narodu do wiary katolickiej... i do Wilna!

EVASIFX

Po pięciu latach rozważań teoretycznych i praktycznych doświadczeń, w armii francuskiej wprowadzono szereg nowych badań poborowych — już po ich zakwalifikowaniu przez normalną komisję — celem ustalenia, w jakiej broni i do jakiego rodzaju funkcji można ich z najlepszym skutkiem użyć.

Te różnorodne badania, przeprowadzane w każdym okręgu wojskowym, a więc w 9 różnych centrach — w wyniku końcowym znajdują wyraz cyfrowy; mianowicie każda litera wyjemnicznego na pierwszy rzut oka wyrazu EVASIFX zastąpiona jest przez cyfrę — od 1 do 5 — określającą odpowiednie cechy i uzdolnienia badanego. E — to jest stan ogólny (état général), V — wzrok (vue), A — słuch (audition), S — górne kończyny (membres supérieurs), I — dolne kończyny (membres inférieurs), F — uzdolnienie umysłowe (facultés intellectuelles), wreszcie X — równowagę psychiczną (équilibre mental).

Wymagania, stawiane przez służbę w różnych działach poszczególnych broni i służb określone są przez odpowiednie formuły cyfrowe, wyrażające minimum kwalifikacji w poszczególnych dziedzinach; tych formułek ułożono 232. Najmniejsza wada wzroku — wyklucza użycie w lotnictwie „latającym”, 2-ka zamiast 1 — wyklucza przydział do piechoty. Choćby za jedna 5-tka (stopień najniższy) — świadczy o niezdolności do służby wojskowej; mimo przyjęcia przez normalną komisję poborową, która z natury rzeczy ogranicza się do oględzin powierzchownych — kandydat z 5-ką odesłany jest do domu.

Badania są skomplikowane — zbadanie kompletne kandydata trwa 5 go dzin, wymagają kosztownej aparatury i wysoko wykwalifikowanego personelu; pozwalają jednak dokonać najlepszej możliwej repartycji poborowych i zapewnić wszystkim oddziałom takich właśnie żołnierzy, jakich im potrzeba.

O KIERENSKIM I KIEREŃSZCZYŹNIE

Dokończenie ze str. 1-ej.

I działały twórcze siły dynamiczne, które zmiatały to paskudztwo z życia i obnażyły istotne wartości i możliwości narodu. Tak było i jest nie dlatego, że tak pisał największy pisarz polski wszystkich czasów, pan Sienkiewicz. Podkreślam: pan Sienkiewicz tak pisał, bo geniuszem swym wyczuł to nieodmienne prawo istnienia i rozwoju narodu polskiego.

I nie te oburzenia na mój "pesymizm" są powodem, że chciałbym dzisiaj postawić kropkę nad "i" i niejako zamknąć podjęty temat. Chodzi mi o argumenty i pretensje inne. Mówiono mi także: "Pisz pan tak, jak gdybyśmy byli w stanie na to poradzić, jak gdyby nasza emigracja mogła wpłynąć na międzynarodową politykę, jak gdybyśmy byli w stanie porządzić możnych tego świata i skierować ich politykę na dogodnie dla nas tory. Piętnuje pan obcych "kierenkich", którzy decydują o losie świata, ale coż my mamy zrobić, by nie oni rządili narodami i państwami?"

Na tego rodzaju argumenty chcę właśnie odpowiedzieć.

Skończymy przede wszystkim z mitem słabości i bezradności polskiej emigracji! Wstyd i obraza Boska! Jest nas, Polaków, poza granicami Polski przeszło 9.000.000. Dziesięć milionów! Nie ma takiej, drugiej liczebnie emigracji zza żelaznej kurtyny. W porównaniu z naszą emigracją emigracje rosyjska, kaukaska, nie mówiąc już o krajach Europy środkowo-wschodniej, są niesłychanie małe. W masie, emigracja nasza jest zamężna (nawet bardzo zamężna) i znajduje się w nieskończenie lepszych warunkach gospodarczych i społecznych niż chociażby emigracja rosyjska czy nawet stosunkowo zamężna emigracja ukraińska. Żadna emigracja nie ma takich możliwości oddziaływania na opinie publiczne krajów Zachodu, jak nasza, która ma w ogromnej swej części prawo brania udziału w życiu politycznym tych krajów. Żadna emigracja nie ma tak wielkich mas młodzieży zdrowej, niezsuniętej fałszywymi hasłami pacyfizmu, neutralizmu, kosmopolityzmu, wrażliwej na los swego narodu, przywiązanej do religii, języka i obyczajów ojców swoich. Jeżeli kto się na emigracji wyraża — to właśnie inteligencja (a raczej intelektualci), ale nie ona stanowi i nie ona stanowić będzie rezerwuarij siły narodowej, wiary i patriotyzmu, które zleją się w jedną całość z wyzwolenczą rewolucją narodu polskiego. Nalwne paplanie o słabości polskiej emigracji jest niczym innym jak usprawiedliwieniem czy nawet uzasadnieniem błędów naszych polityków emigracyjnych, którzy przyzwyczajeni są do robienia polityki ponad głowami mas, w zakamarkach gabinetów biurowych i restauracyjnych, w ramach elitarnych zespolek i mafijek. Z tym głupim i szkodliwym gadaniem trzeba raz kiedyś skończyć.

Nie brak sił stoi na przeszkodzie w wykonaniu obowiązku emigracji wobec Kraju. Przeszkoda jest zupełnie co innego. Jeżeli prawda jest, że katastrofy historyczne wyrzucają na powierzchnię życia publicznego Polski cięszą lub grubszą warstwę szumowin, jeżeli prawda jest, że w dzisiejszej Polsce okupowanej ta warstwa są kolaboranci, kapitulanci i reżymowi lokaje (w rodzaju chociażby t. zw. "katolików postępowych"), to również prawda jest, że i polska emigracja polityczna ma tych szumowin ponad miarę.

Nie będziemy w krótkim artykule roztrząsać szczegółów ani genezy, ani układu, ani geografii tej warstwy. Czytelnik polski jest wybitnie świadom własnych spraw i nie oczekuje, by mu pakować łopata w głowę to co i tak jest jasne. Ograniczę się przeto do ogólnikowego stwierdzenia. Warstwa tych szumowin są ci wszyscy Polacy, którzy odstepują w polityce "ogólnie" czy społecznej, w życiu międzynarodowym czy wewnętrznym od zasad, od podstawowych praw i obowiązków obywateli polskich, którzy dają się sterroryzować atmosferą oportunistów i kapitulacji panującej na Zachodzie i przez to przekreślają całe znaczenie i wartość oporu narodu polskiego. Warstwa ta są ci, którzy, widząc takimi czy innymi względami, są czyniący się bawic na emigracji w jakieś poszukiwania "dobrych stron komunizmu", którzy "godzą się na trzęsivo z rzeczywistością", przechodząc z rewolucyjnych pozycji (jedynie słusznych i właściwych dla politycznej emigracji) na pozycję "zagranicznej opinii", którzy asymilują się politycznie ze środowiskami zachodnimi, przyjmując ich stanowisko, zamiast propagować wśród nich stanowisko polskie.

Nie obce obywatelstwo, nie praca wśród obcych i z obcymi, a nawet nie obce pieniądze decydują o tym, czy kto staje się obcym agentem czy nie. Decyduje o tym przede wszystkim zesłignięcie się na takie pozycje, gdzie sprawa wyzwolenia narodu i walki z bolszewizmem przestaje już być celem głównym i jedynym działaniem politycznym i społecznym. Zargon Polaków londyńskich zna m. in. słowo: "eskejpizm", czyli ucieczka od pewnego sągadenia, świadome czy nieświadome unikanie tego czy innego tematu. — "Eskejpizm" emigracji politycznej od spraw wyzwolenia, od walki bezpośredniej o wolność — nie ma granic. Unikamy jej raz dlatego, że zbyt jesteśmy ochłonięci sprawami i rozgrywkami wewnętrznymi (możebyśmy tak po numerach naszych wrogów zewnętrznych i wewnętrznych), to dlatego że "gosp-darzo" na nią nie pozwalają (aczkolwiek "gospodarzom" często nie

tylko nie śni się czegoś w tej dziedzinie. Nie pozwalają, ale niejednokrotnie dziwią się oni, nawet tej, jakże niezwykłej właśnie w tym wypadku polskiej potulności i lojalności!), to znów dlatego, że mogłoby to zaszkodzić rodakom w Kraju (przedziwna wówczas nas dia tego Kraju ogarnia tkliwość), a to znów, że nie ma warunków. Warunków, że pracy wyzwolenczej nigdy nie było w dziejach świata i mimo to zawsze je znajdowali czy stwarzali ci, którzy zdobywali się na poświęcenie i osobiste ryzyko.

Wymyśli się tylko głębiej w sens tego, co polska emigracja polityczna potrafi pisać o bolszewizmie, o okupacji, o stosunkach sowieckich, o sowieckizacji. Jakież mieliśmy prawo wymagać od Amerykanów czy Anglików, by nie byli poszli na Jaite, skoro tzw. "czołowi" politycy polscy też Jaite akceptowali? Jakżeż mamy potępiać tenże Zachód za jego owczy pęd do "współistnienia", skoro mamy wśród nas moc znakomitych baranów, które poszły na koalicję rządową z bolszewikami, które wymagały od nas lojalności wobec bolszewizmu i okupantów! Jakżeż możemy się dziwić lekkośćuchom i mydlikom europejskim, wychwalającym "pozytywne strony rewolucji bolszewickiej", skoro co któryś tam artykuł w polskiej prasie emigracyjnej aż wonieje kolaboracją i kapitulacją ideową, sympatiami dla jakiegoś nieokreślonego komunizmu, uznaniem dla Tito, usprawiedliwieniem agentur, mimo że każde dziecko już dziś wie, że wszystkie drogi komunistyczne zawsze prowadzą do... Moskwy. Jakże to mamy domagać się od polityków Zachodu energicznej postawy wobec Sowietów, skoro każdy z nas gotów jest w każdej chwili bronić — dla prywatki, dla mafijnych powizań, w "imie wiary w człowieka", w "imie zasad humanizmu i liberalizmu" — największych sprzedawczyków i łobuzów, skoro każdy z nas "wie na pewno", że ten czy ów sowiecki łaps to "w gruncie rzeczy porządny człowiek i w duszy Wallenrod"!

Gdy jest mowa o zachodniej "kierenyszczynie", to trzeba stwierdzić, że swe natchnienie, uzasadnienie i usprawiedliwienie znajduje ona jakże często w polityce, taktyce i przede wszystkim w odstepstwie od zasad ze strony emigracji politycznych. I nie mówmy, że nie umiemy wpływać na koniunkturę, że nie jesteśmy współodpowiedzialni za obecny stan rzeczy, że nie dożyliśmy naszych cegiełek do tej potwornej konstrukcji marazmu i kapitulacji, jaka wytworzyła się w świecie.

Ryszard WRAGA.

ORZEŁ I MRÓWKA

dokończenie ze str. 1-ej

Być może również — i nawet na pewno — rząd Stanów Zjednoczonych używa argumentu ujarzmionych narodów wschodnio-europejskich jako ciężaru, który chce rzucić na szalę przetargów konferencyjnych. Ale to też świadczy o tym, że sprawa niepodległości Polski i innych krajów ujarzmionych nabrała swej wagi. Popioch, jaki zapanował po tych oświadczeniach w Moskwie i w stolicach jej agentur, też świadczy jasno o tym, że problem nabiera wagi i szybkości...

A ważyc może tym więcej i do rozwiązania zbliżać się tym szybciej, że zmniejsza się waga i agresywny rozpad samego Imperium ujarzmiającego — Rosji.

Rosja Chruszczowa, to nie jest Rosja Stalina. Rosja dzisiejsza, to stalinat bez Stalina, to polityka prowadzona przez niepewnych siebie i swego jutra stalinowskich epigonów. Potknięcia pijanego Chruszczowa na schodach pałacu Tity są tego symbolem, a lekceważące uśmiechy dyktatorka jugosłowiańskiego i jego świty wykwitają dzisiaj na ustach zarówno mężów stanu świata wolnego, jak i podległych Moskwie marionetek. Polityk, z którego się śmieje, może być Neroneem, ale nie będzie Cezarem.

Demokracja czerpie swą wielkość z narodu, jak drzewo — z gleby i ze słońca. System dyktatorski nie wspólnie z narodem, ale go ujarzmia. Gdy rozluźnia się uchwyt jarzma, naród podnosi głowę i stara się jarmoz zwałić. Proces taki dojrzuje dzisiaj w Rosji postalinowski.

Gospodarczo system sowiecki, izolujący się i izolowany od świata ze wewnętrznego, też pozostaje w tyle za systemami gospodarczymi świata zachodniego. Na Zachodzie zarówno postęp techniczny — szczególnie w Ameryce — jak dobrobyt społeczeństw pędzi z niepowstrzymaną siłą i zawrotną szybkością.

Ten proces bezwzględny i względnie słabnięcia systemu dyktatury komunistycznej przyczynia się zupełnie zasadniczo do tego, by polityka Zachodu na nadchodzącej konferencji Czterech nie była polityką ustępstw, by nie dała się uwikłać w pułapkę... neutralnych państw. Prawda, że stanowczość amerykańską osłabia nieco wahanie partnerów — Anglii i Francji, wciąż jeszcze żyjących mitem rosyjskiej siły. Ale istnieją oznaki, że i ten hamulec będzie przewyższony.

W takiej właśnie chwili polityka wolnego polskiego uchodźstwa musi być szczególnie aktywna — i orla, i mrówcza, jak powiedzieliśmy na początku. To już jest nie tylko kwestia zjednoczenia na wewnątrz i jednolitego działania na terenie zewnętrznym. Zjednoczenie przestaje być celem samym

Ludwik LAWIŃSKI

Poznałem osobiście wszystkich trzech

Są ludzie, których ogarnia niesamowita trema w momencie, kiedy mają być przedstawieni któremuś z ukoronowanych władców lub prezydentów państwa. Takiej tremy doświadczyłem na sobie osobiście, kiedy po jakimś koncercie w Warszawie, w Kasyńce Oficerskiej w Alei Szucha, miałem być przedstawiony Prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu i Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Jest to trema równa zupełnie tremie, jaka ogarnia aktora (ambitnego aktora) w dniu premiery.

Marzeniem znakomitego wiedeńskiego aktora, Alexandra Girardiego, było poznać osobiście cesarza Franciszka Józefa I, który, jak wiadomo, był wielkim przyjacielem teatru i aktorów. Było to publiczną tajemnicą, że w czasie swego panowania milion koron rocznie ofiarowywał w prywatnej szkatułce na rzecz tzw. "Burgteatru" i "Hofopery".

Historia z Girardim miała miejsce w r. 1908, w czasach, kiedy ulubienicą i przyjaciółką cesarza była aktorka "Burgteatru" Katarzyna Schrott. Ona to obiecała Girardiemu, że go przedstawi cesarzowi. Pewnego popołudnia, kiedy się spodziewała przybycia cesarza, zaprosiła Girardiego do swojej parterowej willi przy Wahingerstrasse. Girardi zjawił się punktualnie o godz. 3.30 po południu, a cesarz spodziewała się Schrott o godz. 4-ej. Girardi był blady, zdenerwowany; zresztą po latach, wspominając o tej wizycie, stwierdzał stanowczo: „Das war die schwerste Rolle in meinem Leben (to była najcięższa rola w moim życiu). Krótko i wesoło: Girardi cesarza osobiście nie poznał. W momencie, kiedy Katarzyna zawołała: „Achtung! der Kaiser kommt!“ (Uwaga, cesarz nadchodzi!), Girardi skoczył z parterowego okna do ogrodu i przerażony uciekł do domu.

Stwierdzam jednak z całą powagą, że nie odczuwałem najmniejszej tremy, kiedy poznałem „trzech monarchów, mędrców świata" ze środkowej Wschodu. Pierwszego poznałem Sza cha perskiego Mohamed Reza Pahlewi, może najpoważniejszego z tych „trójczłków".

Kiedy wojska polskie po wyjeździe z Rosji znalazły się w Persji, czołówka teatralna II Korpusu rozpoczęła swoją pracę na terenie Teheranu. Występy tej czołówki były jednym wielkim

„SYRENA" w każdym polskim domu!

tryumfem. Persowie, odnosili się do Polaków z niebywałą serdecznością i życzliwością; na wszystkich lokalach widniały napisy: „Polacy mile widziani", co przechodzących oficerów sowieckich niebardzo zachwycało. Na przedstawienia czołówki polskiej Persowie uczęszczali tłumnie.

W lecie 1942 czołówka nasza została zaproszona dla dania przedstawienia dla dworu Szacha i jego gości. Byłem wówczas kierownikiem artystycznym czołówki i na tydzień przed przedstawieniem udałem się wraz z moim komentantem i reżyserem do jednego z pałaców Szacha (jest tych pałaców pięć), gdzie we wspólnych ogrodach oczekiwaliśmy przybycia szefa protokołu. Przyjechał wreszcie w pięknej limuzynie w towarzystwie osobistego sekretarza Szacha i jego kolegi ze studium szwajcarskim, p. Perrau. I tu miał miejsce niespodziewany ale bardzo śmieszny incydent: Szeff protokołu, doszedszy do naszej grupy, zbliżył się do mnie i wyskandował po polsku: „A, jak Argonauta, — qui pro quo". Sprawa wkrótce się wyjaśniła. Szeff protokołu był przez trzy lata radcą irańskiej ambasady w Warszawie i stale odwiedzał teatr „Qui pro Quo" (pracowałem w tym teatrze przez 13 lat) i z miejsca mnie poznawszy, zaprezentował swoją znakomitą pamięć, cytując fragment ze skeczu granego wówczas przeze mnie. Równocześnie wtedy, w Warszawie, przez kilka lat był ambasadorem irańskim p. Bahador, mówiący doskonale po polsku, ożeniony z warszawianką, z domu panią Holyńską. Syn ich, tak zwany „Piekny Dodo", był nawet jakiś czas w polskim Korpusie Kadetów, a w Teheranie bardzo się z nami przyjaźnił.

Przedstawienie naszej czołówki, które początkowo miało być na wolnym powietrzu w ogrodzie, odbyło się w pałacu, w dwóch niedużych, specjalnie na ten cel przysposobionych salach, z których jedna stanowiła widownię, a druga scenę. Na przedstawienie przybył Szach ze swoją ówczesną małżonką, Fowzieh, nieprzeciętnej piękności siostrą Faruka, i z przybyłymi do niej dwoma dworami irańskiego przewiduje, że kiedy na sali teatralnej jest obecna małżonka Szacha, wszyscy mężczyźni słuchają przedstawienia stojąc.

Udało się nam te regule przełamać i wszyscy siedzieli. W pierwszym rzędzie siedzieli szachowa z damami dworu, a w piątym rzędzie Szach ze swoimi braćmi. Przedstawienie, konferowane w języku francuskim, miało wielkie powodzenie i świetny odbiór. Po skończonym przedstawieniu, cały zespół został przedstawiony Szachowi i jego małżonce. Odbyło się to bardzo spokojnie, bez żadnego strachu, o jakim wspominał w wstępie. A potem kolacja. Mój Boże! — tej nie możemy zapomnieć do dzisiejszego dnia. Głodomorom z Rosji (mam na myśli naszą czołówkę) oczy wylażyły z podziwu, a półmiski pełne potraw i smakolików kontynentalnych i irańskich opróżniały się błyskawicznie.

Po kolacji tańce w sali balowej w obecności obojga władców. Do tańca grała doskonała orkiestra złożona z żołnierzy II Korpusu, a jeden z młodszych aktorów dostąpił zaszczytu tańczenia z małżonką Szacha. W czasie tańców zdarzył się incydent bardzo nieprzyjemny. Ówczesny ambasador polski w Teheranie, Karso-Siedlecki, tańcząc z jedną z dam dworu, w pewnym momencie przesadziwszy w temperamentem, pofurzył z damą na podłogę. Chwilowa konsternacja... Szach z małżonką szybko się ulotnili.

Wracam jeszcze na chwilę do osoby Szacha.

Młody, kulturalny, inteligentny, o doskonałych manierach, tak że trudno po prostu uwierzyć, że jest synem starego Szacha Reza Pahlewi, o którym wiadomo, że jako wachmistrz, po małej rewolwie zrobił się Szachem i opanował kraj dzięki kolosalnemu sprytowi i brutalności. Jedno mu trzeba przecie oddać — że kraj gospodarczo i architektonicznie postawił na wysokim poziomie. Teheran, to przepiękna w europejskim stylu utrzymana stolica.

Jeden z Francuzów stojących bliżej dworu opowiadał mi o starym Szachu ciekawą historię, która świetnie nadałaby się na libretto operetkowe. Stary Szach otrzymał kiedyś w prezencie od prezydenta Republiki Peru wspaniałe siodło. Dosiadając pewnego ranka konia zauważył, że siodło ma dużą plamę. Polecił koniuszemu, aby odniósł siodło do pralni chemicznej celem wywabienia plamy. Na drugi dzień koniuszy zameldował Szachowi, że niestety plamy nie da się usunąć, że jest to plama, która tkwi już w skórze. Stary Szach się wściekł: „Jak-

to? Republika Peru ośmieliła się ofiarować mi siodło z plamą?! Wypowiadam Peru wojnę!". I tu się zaczyna na serio autentyczna komedia. Na murach pojawiły się afisze mobilizacyjne, na ulice miasta wyjechała kawaleria, wśród ludności niebawem popłoch. Z trudem zdołano przekonać upartego Szacha, że kofimi przez Morze Kaspijskie daleko nie zajdzie.

Obecny władca Iranu nie ma szczęścia. Po brutalnym tatuświe odziedziczył historycznego Mossadeka, którego narazie uspokoił łaskawie na 3 lata.

W grudniu 1942 poznałem w Bagdadzie drugiego egzotycznego monarchę, młodzieńczego króla Iranu, syna króla Fajsała, który zginął tragiczną śmiercią, lecz wiadomości o tym są skąpe i bardzo różne.

Młodego króla (liczył wtedy 7 lat) poznałem w specjalnych okolicznościach. Czołówka nasza, już wtedy nazywająca się „Polską Paradą" (tak ją nazywali Anglicy), w grudniu 1942 r. została zaproszona dla odegrania specjalnego przedstawienia w teatrze im. Króla Fajsała. (Wspaniały architektonicznie teatr, zupełnie nie synchronizuje z brudnym i niechlujnym Bagdadem). Przedstawienie było tylko dla kobiet, gdyż religia nie pozwala Arabkom być na publicznych zebraniach (teatr, koncert, kawiarnia) równocześnie z mężczyznami. Na sali były same kobiety. Z mężczyzn był tylko 7-letni król w łożu, w towarzystwie matki i babki. Konferował po arabsku specjalnie przez nas uproszony Polak, który już od kilku lat mieszkał w Bagdadzie. Młodemu królowi bardzo się podobał jeden z moich numerów komicznych i na jego życzenie zostałem w przerwie zaproszony do łoża. Bardzo kocham dzieci, toteż na pożegnanie bez żenady poglaskałem małego króla po jego czarnych włoskach, co on przyjął z wdzięcznym uśmiechem, ale mama i babcia popatrzyły na mnie — nie daj Boże!

Młody król wiczy studiując obecnie w Anglii, w Harrow. W Kraju ustosunkowano się do niego coś bardzo... niebardzo.

Może mi się uda go kiedyś spotkać i przypomnieć o mojej wizycie w łożu bagdadzkiego teatru.

W lecie 1943 na Garden Party u Faruka występowała również „Polska Parada". Na przedstawieniu, w pierwszym rzędzie obok Faruka, siedział już dziś nieżyjący grecki król Jerzy II, bawiący w tym czasie w Egipcie. Był również obecny Dowódca II Korpusu, gen. Anders, i gen. Klimecki, który w krótkim czasie zginął śmiercią tragiczną podczas katastrofy samolotu, którym leciał gen. Sikorski. Robiłem wówczas bardzo popularny na Środkowym Wschodzie numer polityczno-muzyczny pt. „Kapelmistrz świata". Kiedy konferansjer zapowiedział znakomitego kapelmistrza niemieckiego i na scenie zjawili się w masce Hitlera, król grecki był entuzjastycznie brawo, stojąc, podczas gdy Faruk siedział szpony, jakby niezadowolony. Już wtedy mocno kokietował Niemców. Za te kokieterie spotkała go odpowiednia nauka ze strony ówczesnego ambasadora angielskiego, Sir Miles Lampson, dziś Lord Killern. Kiedy wojska Rommła znalazły się pod Aleksandrią, wspomniany ambasador, chcąc uspokoić nieco zhitleryzowanego Faruka, zajął w towarzystwie gen. Wilsona szczyt pod pałac i wszedłszy na schody krzyknął: „Gdzie jest ten chłopak?" (dosłownie) „Jak opowiadali naoczni świadkowie, Faruk się rozplakał i przyrzekł poprawę.

Na wspomnianym Garden Party spotkało mnie „szczęście" poznania króla Faruka. A było to tak: stałem przy jednym z licznych bufetów w towarzystwie Ireny Rożyńskiej, doskonałej aktorki „Polskiej Parady", i sekretarza polskiej ambasady (ambasadorem był p. Załubiński), radcy, Szczenińskiego. W pewnym momencie, zupełnie niespodziewanie, podszedł do nas król Faruk. Przywalił prawdopodnie ze względu na Irenę Rożyńską, która go widocznie trochę niepokoiła. Nic nie można wiedzieć. Może to ona właśnie miała być przyszlą królową Egiptu?

Ja i Irena Rożyńska byliśmy w doskonałych humorach, toteż, ku obużeniu pana radcy („Na miły Bóg, przecie to jednak król!"), pofraktowaliśmy Faruka bardzo ozębnie, bez dworskich ukłonów, ot jak faceta, dia którego każda spódniczka — to duże niebezpieczeństwo. Po jego odejściu, Irena Rożyńska z miejsca zdecydowała: „I taki petak jest królem?"

Stwierdzam, że Irena Rożyńska była pierwsza, która już wtedy poznała się na Faruku, uprzedzając gen. Neguba.

Ludwik LAWIŃSKI



Grupa studentów polskich w strojach ludowych, która wstępowała z sukcesem na Garden Party w Cité Universitaire.

Janusz KOWALEWSKI.

W ślad za dobrze poinformowaną prasą szwajcarską, kreślmy dziwne koleje losu ukochanej wnuczki cesarza Franciszka Józefa I, arcyksiężniczki Elżbiety, zwanej „czerwona arcyksiężniczka”. (1)

„SIELSKIE, ANIELSKIE”
DZIECINSTWO

Nad kołyską jej — zdawało się — podaly sobie ręce wszystkie dobre wróżki.

Urodziła się w roku 1883 na idyllicznie położonym zamku Laxenburg pod Wiedniem, jako jedyna córka następcy tronu austro-węgierskiego, arcyksięcia Rudolfa i jego małżonki, księżniczki belgijskiej Stefani, córki króla Leopolda II.

Pożycie małżonków nie było szczęśliwe, ale o tym nie wiedziało dziecko. Nic nie maciło jego szczęścia. Cicho i pogodnie płynęły dni na zamku laxenburskim z przepychem jego wnętrza i pięknym parkiem.

O swoim ojcu zachowała małe Elżbieta najlepsze wspomnienie.

Był to — według jej późniejszych opowiadań — piękny, rosyły mężczyzna o głębokim, ciepłym głosie i jak gdyby owianym melancholią spojrzeniu.

Dla Elżbiety — swojej „Liesi”, jak zwał ją z wiedeńska — miał zawsze uśmiech na ustach; pieścił ją i bawił się z dzieckiem całym godzinami.

Kochał bardzo zwierzęta. Toteż miała arcyksiężniczka była stale otoczona sforą psów i innych czworonogich ulubieńców. Miłość tę zachowała przez całe życie.

Nagle w tę pogodną beztrudną życia dziecięcego uderzył grom z jasnego nieba.

Krwawa noc w Mayerlingu...

Straszliwy ranek, kiedy słusza natknęła się na dwa martwe ciała: arcyksięcia Rudolfa Habsburga i baronówny Marii Veersa.

W CIENIU MAYERLINGU

Elżbieta miała zaledwie 5 lat, nie mogła więc zrozumieć ogromu nieszczęścia, bolesnej straty dobrego ojca, przysłego cesarza.

Później dopiero dowiedziała się, że ojciec jeszcze w ostatniej chwili, w przeddzień tragicznej śmierci troszczył się o swoją jedynaczkę i biegł ku niej myślami. Napisał piękny list do Stefani, który zakończył słowami:

„Bądź dobra dla biednej malej, to jedno co po mnie zostaje!”

Niestety, to ostatnie życzenie nieszczęśliwego arcyksięcia nie miało się nigdy spełnić. Stefania, która nie mogła wybaczyć mężowi jego romantycznych eskapad, — miała mało serca dla córki.

Tym bardziej serdeczny okazał się dla wnuczki, skąd inąd tak zimny i oschły, jej dziadek, cesarz Franciszek Józef.

Ponieważ chciał on mieć ją jak najwięcej i najczęściej przy sobie, — miała arcyksiężniczka spędzać po kilka miesięcy w roku w Schönbrunnie i Burgu. Latem towarzyszyła dziadkowi do Bad Ischl, dokąd cesarz stale udawał się na odpoczynek i serię polowań.

W roku 1900 — Elżbieta miała wtedy lat 17 — matka jej wyszła powtórnie za mąż za hrabiego Elmera Lonyai, potomka starego węgierskiego rodu magnackiego. Opuściła Wiedeń, gdzie poza zewnętrznym błichtem przeżyła tylko same smutki i strapienia, i osiadła do świeżo poślubionym mężem na zamku Oroszvar, w pobliżu dzisiejszej granicy węgiersko-austriackiej.

Tutaj żyli spokojnie aż do końca drugiej wojny światowej. Przed nadciągającymi bolszewikami schronili się do jednego z klasztorów.

Stefania zmarła w sierpniu 1945, z dala od córki i od swojej belgijskiej ojczyzny. W kilka miesięcy potem podążyła za nią mąż.

ŚLUB ELŻBIETY

Tak się dziwnie złożyło, że w tym samym roku 1900 — roku drugiego ślubu Stefani i córka jej, młodzianka arcyksiężniczka Elżbieta, miała przeżyć pierwszą swoją miłość.

Poznała ona w tym czasie starszego od niej o lat 10, przystojnego, eleganckiego oficera kawalerii, księcia Ottona Windischgracza. U obojga było to, jak mówią Francuzi „coup de foudre”.

Młodzi natknęli się jednak na poważne przeszkody. Chociaż Windischgracze należeli do jednego z pierwszych rodów austriackich i pod względem urodzenia uchodzili za równych Habsburgom, — cesarz pragnął wydać ukochaną wnuczkę za księcia krwi spośród domów panujących Europy. Windischgracze musieli złożyć podanie o przeniesienie go do garnizonu na prowincji...

Jednakże miłość obojga, opór i upór Elżbiety, w której odczuwała się krew cesarzowej Elżbiety, króla Leopolda i arcyksięcia Rudolfa, — przewyciężyły wszystkie trudności i w roku 1902 młoda para stanęła na ślubnym kobiercu.

Było to wspaniałe, barwne widowisko. Po dziś dzień żyje ono w pamięci starych wiedeńczyków.

Legendarny ślub postawił na nogi cały Wiedeń, zgromadził mnóstwo gości z prowincji i zagranicą.

Po ceremonii ślubnej odbyło się wielkie przyjęcie galowe w Burgu, które skupiło co najświetniejsze imiona Europy. Bogate stroje magnatów węgierskich, barwne mundury dyplomatów i oficerów, stroje i klejnoty pań, — złożyły się na ramy jednego w swoim rodzaju obrazu.

Dla ludności monarchii był to w ca-

Józef RELIDZYŃSKI

„CZERWONA ARCYKSIĘŻNICZKA”

lym tego słowa znaczeniu „ślub stulecia”.

CHMURY NA HORYZONCIE
Początkowo zdawało się, że nie nie zamącaj szczęścia otoczonej powściągniętym podziwem i zazdrością młodej pary.

Wkrótce jednak w kołach dworskich rozeszły się dziwne i niepokojące pogłoski. Zaczęto przebąkiwać o niesnaskach w młodym stadle, sprzeczkach i gwałtownych scenach zazdrości.

Wprawdzie czworo dzieci Windischgraczków: trzech synów i jedna córka, którzy w ciągu kilku lat przyszli na świat, zdawało się zaprzeczać plotkom dworu i świadczyć o harmonii w małżeństwie. Atoli okazało się, że namiętna miłość Ottona i Elżbiety nie opierała się działaniu czasu i nie wyrównała różnic temperamentów i charakterów małżonków.

Decydującą próbą dla małżeństwa Windischgraczków okazał się rok 1918 — rok, w którym zwyciężona monarchia austro-węgierska rozpadła się w gruzy, a Habsburgowie zostali wygnani z kraju.

Stary cesarz, jeszcze w czasie wojny, spoczął w podziemiach wiedeńskiej krypty Kapucynów, gdzie leży długi szereg Habsburgów.

Elżbieta Windischgracze dzięki swemu małżeństwu przestała być, a raczej przestała się liczyć jako Habsburżanka. Mogła więc pozostać w kraju.

ARCYKSIĘŻNICZKA —
SOCJALISTKA

Elżbieta już przed laty, dzięki swoim liberalnym skłonnościom — spuściznie duchowej po babce i ojcu, oddała się do habsburskiej rodziny.

SIŁA I SŁAŁOŚĆ SOWIETÓW

dokończenie ze str. 1-ej

To są jednak rozumowania oderwane, które może nie każdego przekonają. Mniej podlegają dyskusji fakty z innej dziedziny. Należy wyraźnie podkreślić, że opierające się o doktrynę komunizmu dążenie do panowania nad innymi narodami łączy się ściśle z koniecznościami, jakie przed Rosją stawia ubóstwo jej ziemi. Nie zapominajmy o tym, że w chwili gdy Rosja rozpaczliwie walczy o zwiększenie produkcji rolniczej, Stany Zjednoczone rozdają nadwyżki swej produkcji, których nie mogą sprzedać. Obok doktryny komunistycznej, ambicje państwowe pchają więc Sowiety na drogę nieustannej agresji, przy której tylko metody się zmieniają. Taka postawa jest niezrozumiała dla wielu krajów zachodu, myślących raczej o obronie dobrobytu.

Nie sposób zaprzeczyć, że w ostatnich czasach widać w Sowietach szereg konkretnych i bardzo poważnych trudności, które prawdopodobnie wpływają na obecną taktykę polityczną Kremla. Wymieńmy niektóre z nich, bez wdawania się w szczegóły:

1) Przedłużający się kryzys agrarny. Sposoby jego rozwiązania, obecnie stosowane, nie wydają się rokować powodzenia. Prawdopodobnie jedynym skutecznym sposobem powiększenia so wieckiej produkcji rolniczej byłby odwrót od kolektywizacji, ale na to Sowiety zdecydować się nie mogą.

2) Wyraźny kryzys demograficzny, którego rozmiary są niemożliwe do stwierdzenia, choć samo zjawisko wydaje się dość pewne. Wszystko wskazuje na to, że liczba urodzeń w Sowietach gwałtownie spada, co musi niepokoić sowieckich mężów stanu, zwłaszcza wobec rewelacyjnych wyników niedawnego spisu ludności w Chinach. Oczywiście spadek przyrostu ludności łagodzi kryzys rolniczy, ale jest on niepokojący (nie dla nas...) jako objaw niezadowolenia ludności z istniejącego stanu rzeczy, z którym walczyć nie ma możliwości! Wydaje się, że przyczyną kryzysu demograficznego Sowietów jest niezadowolenie z trudnych warunków życia, a więc jest to sygnał ostrzegawczy przed zbyt wielkim tempem zbrojeń.

3) Zdaje się, że można też mówić o pewnym kryzysie rozwoju przemysłowego. Wydawało się, że Sowiety przywiązują wielką wagę do przyszłego wyzyskania energii atomowej dla celów wojskowych, które mogłyby wyrównać ich trudności w dziedzinie surowców energetycznych. Ale Sowiety jakoś nie mogą jeszcze rozwiązać zagadnienia produkcji energii w oparciu o procesy rozkładu atomowego. Wbrew zapewnieniom sowieckim nie ma tam elektrowni przemysłowej: jest tylko elektrownia eksperymentalna o mocy 5.000 kw, czyli dosłownie maleńka (w Ameryce buduje się prawdziwą elektrownię przez myślową „atomową”, równo pięćdziesiąt razy większą). W innej ważnej dziedzinie elektroniki rewolucjonizującej dziś przemysł amerykański, Sowiety są jeszcze wyraźnie zapóźnione.

Chciałoby się jeszcze dodać kryzys władzy, bo trudno uwierzyć, by autoritet Kremla mógł być nieuszczuplony po zwycięże belgradzkiej, ale to już jest inna dziedzina.

Czytelnik przyjmie pewno moje wywody jako porcję optymizmu. I tu trzeba zapalić czerwone światło i wskazać inny kierunek myślenia. Trudności we wnętrzu w niczym nie zmieniają praw, rządzących światową polityką komunistów, w pewnym sensie nawet podniecają do nowych wysiłków, zmierzających zawsze do tego samego celu. Im bardziej występują na jaw trudności Związku Sowieckiego, tym bardziej u-

Od dawna już — ku przerażeniu całego dworu — kazała ona przesyłać sobie do Burgu socjalistyczną „Arbeiter Zeitung”.

Z chwilą kiedy Austria przekształciła się w republikę Elżbieta ostatecznie odrzuciła wszelkie względy rodzinne i dynastyczne.

Rozwiodła się teraz z księciem Windischgraczem i oficjalnie przystąpiła do partii socjal-demokratycznej. Można sobie wyobrazić miny biednych Habsburgów, ultrakatolickich i ultrakonserwatywnych...

W następnych latach była arcyksię-

niczka i księżna, właścicielka dóbr i pałacu pod Wiedniem, brała czynny udział w kobiecym ruchu socjalistycznym.

Wspólna praca ideowa zbliżyła wciąż jeszcze piękną i elegancką kobietę do skromnego nauczyciela ludowego i działacza socjalistycznego Leopolda Petzneka.

Ku niemałej sensacji Wiednia b. arcyksiężniczka, nad której kolebką zdawała się unosić korona cesarska, poślubiła Petzneka. Związek ten zresztą okazał się szczęśliwy i przetrwał wszystkie burze w przyszłości.

Według cudzej recepty

dokończenie ze str. 1-ej

zabobonów”, jak komuniści nazywali i nazywają wiarę chrześcijańską — jest zbyt mocne i opór zbyt silny, by go się udało atakiem frontalnym przelać, władcy Kremla zastosowali metodę inną — do tego samego celu dążąc innymi drogami.

Odkryto nagle, że pomiędzy komunizmem i chrześcijaństwem właściwie żadnych nie dających się pogodzić przeciwieństw nie ma, że komunizm „umieszcza w swym programie wszystkie zasadnicze postulaty natury społecznej, znajdujące się w nauce Chrystusowej” i że chrześcijaństwo pierwotne „było swego rodzaju komunizmem”. Komunizmem nieusystematyzowanym i nie doprowadzonym do logicznego końca. Program więc Lenina na-

leży uznać... za ulepszenie i udokona-

lenie chrześcijaństwa!

Znaleźli się oczywiście zaraz usłużni propagatorowie tych wierutnych kłamstw pośród kół ludzi „wierzących”. W roku 1925 odbył się nawet, na podobieństwo podobnych imprez w średniowieczu, publiczny „dysput” pomiędzy ówczesnym komunistycznym ministrem Lunaczarskim a prawosławnym metropolitą na temat: „Chrześcijaństwo czy komunizm, idealizm czy materializm”, w którym teoretyk bezbożnictwa i materializmu odniósł walne zwycięstwo... nie bez pomocy swego oponenta, który uczynił wszystko, aby jak najlepiej przysłużyć się przedstawicielowi nowej władzy.

Wiemy, jaki był skutek tej metody. Hierarchia prawosławna poszła, w ślad za owym metropolitą — w służbę propagandy komunizmu, stała się narzędziem w ręku Kremla.

Nauczeni doświadczeniem rosyjskim, komuniści nie próbowali już w Polsce, narzucać bezbożnictwa bezpośrednio. Zaczęli od razu od stosowania metody, która dała w Rosji dobre dla nich wyniki: zaczęli od podkreślania rzekomych cech wspólnych komunizmu i chrześcijaństwa, by stopniowo osłabiać wiarę, stopniowo odsuwać Chrystusa na dalszy plan — a na pierwszy wysuwać „apostołów” Marksa i Lenina!

Taka jest geneza „katolików postępowych”. I nie jest tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności, że p. Bolesław Piasecki, ongiś przed stawiciel skrajnej prawicy, uświadomił sobie nagle, że ma religijną misję do spełnienia — właśnie podczas pobytu w więzieniu, z którego komuniści go jakoś zastanawiająco przedko wypuścili.

Dali mu, na dalszą drogę życia — starą moskiewską receptę!

Wiktor JUNOSZA.

W następnym numerze „Dodatek Literacko-Naukowy”.

Listy do Redakcji

O „MARSZ SZLAKIEM KADRÓWKI”

Szanowny Panie Redaktorze, żyjemy w epoce kiedy „zimna wojna” pogryzła cały świat w nerwowym wyczekiwaniu. Lecz nam, Polakom, nie wolno tylko czekać. Musimy działać, przypominać, że Polska żyje, że tradycje polskie są, przez nas, emigrantów, pieczołowicie zachowywane.

Jedną z takich tradycji był w Kraju rodzonym „Marsz Szlakiem Kadrowki” na trasie Kraków — Kielce, jako przypomnienie owego 6-go sierpnia kiedy Strzelcy wyruszyli spod Oleandrów, by przynieść Polsce wolność i niepodległość.

Dziś, w okupowanej przez Sowiety Ojczyźnie Rodacy nasi organizowali tę imprezę, przypominającą bohaterką walkę z rosyjskim zaborcą — nie mogą.

Uważam tedy za bardzo wskazane, aby taki symboliczny marsz odbył się tutaj, na gościnnej ziemi francuskiej; miejsce i trasa są obojętne; skład drużyny może być zmniejszony choćby do 3-ch osób, tak aby mogły wziąć udział możliwe liczne stowarzyszenia. Co do samej organizacji „Marszu Szlakiem Kadrowki” we Francji, sądzę, że najbardziej powołane do tego, by wziąć ją w ręce — są Oddziały Wartownicze, które następnie zaprosiłoby do udziału Sokolów, Harcerzy, KSMP i inne organizacje, zarówno kombatanckie jak młodzieżowe.

A więc, Wartownicy, bierzcie się do dzieła, tak byśmy jeszcze w tym roku mogli stanąć do marszu i pokazać, że Polska i tradycje polskie nie zginęły — póki my żyjemy!

Bronisław SZCZAPA

Lille.

„JEDYNA DROGA — TO SĄD”

Szanowny Panie Redaktorze! W związku z artykułem wstępnym „Dziennika Polskiego” z 21. 6. b. r. p. t. „Nie wódczy się po sądach”, chciałbym, jako prezes Oddziału „Londyn” ZRRP, skupiającego 11 Kół, za-

brać słos w dyskusji i sądzę, że Pan Redaktor nie odmówi mi gościnności na łamach swego pisma, aczkolwiek z góry zaznaczam, że nie godzę się ani z treścią ani z tonem tego artykułu, który uważam za nieprzemysłany.

O ile mi wiadomo, sprawa sądowa, która trwa od prawie 2 lat, dobiega końca i rozprawa główna ma się odbyć wkrótce.

W tym stanie rzeczy artykuł „Dziennik”, który od października 1953 r. milczał, nie wydaje mi się poważny.

W artykule „Widmo anarchii” („Dz. Polsk. i Dz. Z.” z 24. 10. 53 r.) czytamy: „Celem Komitetu Przywrócenia Niezależności ZRRP — na cele którego stał p. M. Michalski — przyp. mój) powinno być jak najszybsze zwolnienie nowego zjazdu i legalna zmiana władz”. Tymczasem Komitet wybrał inną drogę: przedyskutował sierpnioowego ogłoszono, że wznawia obrady tego formalnie zamkniętego zjazdu i wezwało delegatów na niedzielę 25. 10. do Birminghamu.

„Z góry wiadomo, że jeżeli zjazd niedzielny wybierze nowe władze, to będą 2 zarządy i w konsekwencji 2 Związki”.

Grupa p. Michalskiego odrzuciła rady „Dziennika” i spowodowała rozłam — jak „Dziennik” słusznie przewidywał.

Uważam, że dziś jedyną drogą do załatwienia sprawy jest wyrok i to wyrok niezależnego sądu brytyjskiego, lub też sądu polubownego, złożonego z Polaków.

Wiadomo mi, że z taką propozycją wystąpiło Zjednoczenie Polskie, — na propozycję tę zgodził się Zarząd Główny ZRRP, ale grupa p. M. Michalskiego odrzuciła tę inicjatywę.

Niezależnie od wszystkiego uważam, iż obecny ton artykułu na pewno nie przyczyni się do uspokojenia umysłów. Łączę wyrazy poważania

Leon Wichański, prezes Oddziału „Londyn” ZRRP.
Londyn, 2 lipca 1955.

FRAU PETZNEK

Elżbieta sprzedała dziedziczne dobra Schönau i jako Frau Petznek, prze niosła się z mężem do pałacyku biedermeierowskiego pod Wiedniem. Pałac ten należał kiedyś do tragicznie zmarłej cesarzowej Elżbiety, jej babki; otrzymała go w spadku po swoim ojcu — arcyksięciu Rudolfe. Wspaniały stary park, otaczający dom, — wskrzeszał miłe wspomnienia z Laxenburgu.

Rok 1934 był w republice austriackiej okresem burzy i zamętu. Położył też kres spokojnej idylli małżeństwa Petznek wśród książek, obrazów i pamiątek rodzinnych Elżbiety — idylli, wypełnionej pracą społeczną i polityczną obojga.

Głos austriackiej socjal-demokracji — partii o starych i pięknych tradycjach, został zduszony. Po nieudanych próbach oporu ze strony robotników, naddciągnęła fala reakcji i represji w stosunku do socjalistów.

Także Leopold Petznek dostał się przejściowo do więzienia. Jego towarzyszkę pracy i życia pozostawiono w spokoju, zapewne respektując jej pochodzenie z b. domu cesarskiego.

Rok 1938 — rok „Anschlussu” — przyniósł Elżbiecie cios bolesny: jeden z jej synów, zaledwie 30-letni ks. Windischgracze zginął w wypadku motocyklowym.

Dzisiaj z pozostałych dzieci Windischgraczków żyje tylko dwoje: syn jest farmerem w Kenii, jedyna córka zaś poślubiła szwedzkiego przemysłowca Björklunda i mieszka w Brukseli. Drugi syn zmarł przed 2 laty w Wiedniu na serce.

„ANSCHLUSS”

Reżym hitlerowski zaważył ciężko na losach małżeństwa Petznek.

On, jako były trybun socjalistyczny, został uwięziony i do końca wojny prze bywał w Dachau. Wrócił ze zrujnowanym zdrowiem.

Po zwolnieniu zajmował jakiś czas wysokie stanowisko w II Republice, wkrótce przecieżył wskutek nadwątłych sił musiał zrezygnować z urzędu i wszelkiej działalności politycznej.

Osamotniona podczas jego uwięzienia Elżbieta dzielnie stawiała czoło uciskowi hitlerowskiemu. Mimo zwróconych na siebie podejrzliwych oczu Gestapo, w domu swoim dawała schronienie zbiegłym z niewoli żołnierzom francuskim.

USUNIĘTA Z WŁASNEGO PAŁACU

Radość ponownie złączonej pary małżeńskiej rychło znów zatruty kroplę gorczy.

Naprzód w pałacu Elżbiety zakwaterował się oddział bolszewików. Wandalę moskiewscy nie oszczędzili pamiątek i dzieł sztuki. Większość kosztownego urządzenia, w tym kilkadziesiąt dywanów, drogocenne obrazy, stare srebro i porcelana, obrazy i gobeliny — wszystko zostało zabrane i wywiezione na kilkunastu ciężarówkach.

Ledwie b. arcyksiężniczka ochłonęła po tej stracie; ledwie z trudem zdolała odzyskać znikomą część zabranych przedmiotów i wypełnić nimi trochę pokoiów, pałac został i jest po dzień dzisiejszy zarekwirowany na użytek Wysokiego Komisarza francuskiego.

Małżeństwo Petznek musiało się czym prędzej wyprowadzić, zabierając ze sobą tylko trochę pamiątek i garderoby. Przydzielono mu małą, zombardowaną, będącą obrazem nędzy i rozpaczliwej wille na zachodnich peryferiach Wiednia, w pobliżu dawnego pałacyku Elżbiety.

Miała to być prowizorium.

Tymczasem „prowizorium” to trwa już... 9 lat. Frau Petznek z mężem gnieździł się do dziś dnia w jedynych dwóch ocalkach pokojach, przykuta do fotelu, z którego się prawie nie rusza, trapiąca przez reumatyzm.

Słany ocekają wilgoci... „Jest to jedyna woda bieżąca, jaką rozporządzamy” — mówi z gorzką ironią Elżbieta, b. arcyksiężniczka austriacka.

W willi łazienka zrujnowana, gaz popsuły. Wejście prowadzi przez dziki, zapuszczony ogród, przypominający dzunglę.

Jedyną ozdobę smutnego mieszkania stanowi kilka portretów rodzinnych, wśród nich — arcyksięcia-następcy tronu Rudolfa w mundurze admirałskim. Na portretach — mokra pleśń wilgoci...

Monotonną roślinność urozmaica tylko wesołe szczełkanie psa — wielkiego czarnego wilka. Pani Petznek pozostała miłośniczką zwierząt, jaką była w Laxenburgu. Trochę radości wnoszą rząd kaktusów na balkonie, pochodzących z dawnego ogrodu pałacowego.

Latem Elżbieta, ciężko wsparta na grubej lasce, pokrecona, z trudem poruszająca się, starannie je pielęgnuje.

PROMIEN ŚWIATŁA W MROKU

Ostatnio w mrok tej roślinności padł niki promień nadziei. Frau Petznek otrzymała zawiadomienie z austriackiego MSZ, że pałacyk jej ma być wkrótce zwolniony.

Wprawdzie tyle razy już to jej obiecywano, ale może przecieży tym razem ta bajka — ostatnia bajka jej życia się wysni...

„Byłoby to dla nas starych — brzmiały słowa Elżbiety — najwyższym szczęściem, gdybyśmy ostatek dni swoich mogli spokojnie spędzić w miejscu, z którym łączy nas tyle zarówno jasnych, jak i ciemnych chwil!”

Czyżby to było zbyt wygórowane żądanie ze strony starej, chorej, zgorzkniałej kobiety, która kiedyś była najpiękniejszą księżniczką na dworach Europy i która zawsze miała odwagę chodzić własnymi drogami, nie oglądając się na przesady i konwenanse?

Józef RELIDZYŃSKI

1) Artykuł napisany przed układem międzynarodowym, który przywrócił Austrii wolność i niepodległość — Red.

PO MANIFESTACJI W DIEUZE

Na uroczystości 15-lecia walk w Lotaryngii i poświęcenia kamienia węgielnego pomnika na cmentarzu Grenadierów z północnych departamentów Francji wyjechała spora grupa kombatanów i ich rodzin. Prace organizacyjne należały do okręgów Lens i Dourges Zw. Rezerwistów i b. Wojskowych. W wygodnym autobusie było 60 osób i 50 sztandarów organizacyjnych.

Autobus posuwał się szybko, zatrzymując się tylko na chwilę w ustalonych miejscach zbiórki, by zabrać oczekujących. Ostatnim miejscem zbiórki było Douai.

Zaledwie opuściliśmy Douai i oto już Cambrai, Le Cateau, na krótki postój zatrzymujemy się w lasku koło Nouvion, w południe jesteśmy już w Charleville, a zaraz potem — w Sedan, gdzie zjedliśmy obiad. Koło 5-tej po południu jesteśmy w Verdun, zwiedzamy pola walk z lat 1914—18. O godzinie 19.30 — przybywamy do Metz, gdzie na nas oczekiwał prezes tamtejszego okręgu, kol. J. Pakula. Nocleg w barakach turystycznych i w hotelu "de la Couronne".

Nazajutrz — w niedzielę — pobudka o 6-tej rano. Krótkie śniadanie i ruszamy do Dieuze, dokąd przybywamy przed 10-tą. Bierzymy udział w powitaniu gen. Andersa i innych osobistości polskich i francuskich, pochodem udajemy się do kościoła na nabożeństwo, potem zjadamy na prędcie — każdy gdzie może — obiad, i znowu gromadzimy się na placu przed merostwem, by wysłuchać wspaniałego przemówienia gen. Andersa. Pochód na cmentarz Grenadierów, modlitwy za poległych, przemówienia gen. Duchy i przedstawicieli władz francuskich, hymn narodowe polski i francuski. Potężna manifestacja patriotyczna dobiegła końca, pozostawiając niezatarte wrażenie u wszystkich, którzy mieli okazję wziąć w niej udział.

Po uroczystościach — wracamy do Metz. Nocleg. W poniedziałek ruszamy na północ — ale inną drogą. Zwiędzamy przede wszystkim Nancy, miasto króla Stanisława Leszczyńskiego, podziwiamy przepiękny plac Stanisława, skupiamy się przed pomnikiem na szego króla-wygnança. Wygnańca, jak dzisiaj jesteśmy my wszyscy.

Przez Toul, Bar-le-Duc podążamy innym żołnierskim szlakiem i przybywamy na cmentarz Hallerczyków, pod Auberive. I tutaj znowu oddajemy hołd poległym. Stwierdzamy równocześnie, że na cmentarzu jest coraz więcej grobów — obok poległych w latach 1914—18, jest coraz więcej tych, którzy oddali swe życie w walce o Polskę w latach 1939—45.

Wyruszymy do Reims. Zwiędzamy słynną katedrę. Obiad. I bierzemy kłopot na Jonchery-sur-Vesle, gdzie mamy umówione spotkanie, które nie dochodzi do skutku. Nie z winy naszej, oczywiście, bośmy przybyli. Był to nasz ostatni postój. Wieczorem — po trzydniowej nieobecności — wracamy do naszych siedzib na północy. Trechę zmęczenia, ale zadowoleni. Wzięliśmy udział w manifestacji i zwiedziliśmy sporo ciekawych miejsc. Organizatorom — pp. Suskiemu i Kominowemu — należą się słowa podziękowania. Za 2.000 fr. kosztów przejazdu na osobę odbyliśmy piękną i interesującą podróż.

I właśnie na marginesie tej podróży chciałbym wysunąć parę uwag, pod-

kreślić parę niedociągnięć, których na przyszłość należy unikać. Odnosi się samej podróży pragnę zauważyć, że winien być zawsze tylko jeden kierownik wycieczki, decydujący o wszystkim, ustalający trasę podróży i miejsca godne zwiedzenia. Musi on, oczywiście, zawczasu przestudiować trasę i wiedzieć, jakie są po drodze ciekawe rzeczy do obejrzenia. Wówczas rzeczywiście można będzie powiedzieć, że podróż jest kształąca.

W Dieuze szwankowała trochę strona organizacyjna. W Metz Patronat Grenadierski oczekiwał nas do północy, ale my... nic o tym nie wiedzieliśmy. Tak samo w Dieuze — nikt z nas nie wiedział, że czekano na nas z obiadem... Nie przybyli także sztandarowi po nasze sztandary. Rozumiem, że były wielkie trudności organizacyjne, zwłaszcza że zjazd był ogromny, ale mimo wszystko, sądząc, można było wykazać więcej sprężystości organizacyjnej. To samo z przemówieniami. Witając gen. Andersa przemawiałem w imieniu Centralnego Związku Polaków i Federacji P.O.O. Nie mogłem, rzecz jasna, mówić w imieniu Kongresu Polonii Francuskiej. Mógł jednak to uczynić obecny prezes Kongresu, p. Lech. Należało tylko o tym zawczasu pomyśleć.

Poruszam te sprawy nie dla krytyki. Każdy musi przyznać, że manifestacja w Dieuze była po prostu wspaniała.

Jeśli więc podkreślam pewne niedociągnięcia organizacyjne, to tylko po to, by ucząć się na błędach — uniknąć ich w przyszłości.

Na zakończenie nie mogę nie wspomnieć o pewnym paszkwiliu na gen. Andersa, spreparowanym przez znanego p. wydawcę. W naszym autobusie mówiono o tym paszkwiliu przez całą drogę. Wszyscy byli oburzeni do głębi. Szkoda, że ten wydawca nie mógł słyszeć tych wszystkich epitetów, jakich ludzie nie szczędzili pod jego adresem. Wyrwanie się jak Filip z konopi nie zawsze popłaca. Nawet wówczas, gdy ma się na widoku wyłącznie swój gazetowy handelek.

Podkreślić natomiast pragnę z całym uznaniem udział księży polskich ze Wschodniej Francji w patriotycznej manifestacji w Dieuze. Obecność księży — a było ich wielu — rzuciła się po prostu w oczy. Pod tym względem Lotaryngia może świecić pięknym przykładem. Czy polscy księża w Lotaryngii są lepszymi Polakami niż nasi księża na północy? Widząc księży polskich w pochodzie w Dieuze, byliśmy wdzięczni ks. Dziekanowi Miedzińskiemu.

Ks. Kanonik Miedziński był żołnierzem. On wiele rzeczy inaczej rozumie. I inaczej czuje.

Franciszek KĘDZIA.

PIEKNE OSIĄGNIĘCIA

(Korespondencja własna „Syreny”)

London, w lipcu.

Niejednokrotnie pisaliśmy na łamach „Syreny” o dużej roli jaką odgrywa na emigracji zasłużona na niwie kulturalnej placówka — Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego w Londynie.

Leży właśnie przed nami sprawozdanie Zarządu Instytutu za okres minioną roczną kadencji. Wynika z niego, że instytucja ta ma się czym pochwalić zarówno w dziale archiwalnym, muzealnym czy też wydawniczym, dokładając poważną cegiełkę pod budowę gmachu kultury polskiej, spalonej w kraju przez siłusgów wschodniego satrapy.

Z przebogatego archiwum Instytutu, prowadzonego przez p. R. Oppmanow, korzystało w ubiegłej kadencji szereg osób ze świata naukowego zarówno z W. Brytanii jak i z innych krajów oraz młodzież uniwersytecka, czerpiąc z zasobów archiwalnych wiele materiału do swych prac, szczególnie w zakresie udziału Polski w drugiej wojnie światowej.

Archiwum otrzymało i włączyło do swych zbiorów cały szereg dalszych akt różnych instytucji państwowych. Uporządkowało i skatalogowało akta szeregów urzędów, sporządzone alfabetyczną kartoteką kronik i dzienników działań jednostek wojskowych.

Jeśli chodzi o dział biblioteczny, kierowany przez dr L. Koczego, to napływ książek nie ustał i był w okresie sprawozdawczym większy niż w latach poprzednich. Biblioteka Instytutu otrzymała w okresie sprawozdawczym 407 wydawnictw i liczy obecnie 6.790 dzieł.

Uzupełnianie przebogatego zbioru czasopism było główną troską Biblioteki. Biblioteka stara się utrzymać wymianę z instytucjami pokrewnymi w Kraju.

Dział muzealny znajdujący się w Bancknock w Szkocji, prowadzony pod kierunkiem kustosa p. Jana Domańskiego, może się poszczycić imponującą cyfrą 25.444 przedmiotów muzealnych, zainwentaryzowanych, drobniogowo opracowanych i stale konserwowanych, ujętych w 17.374 pozycje inwentarowe. Wśród tych pamiątek nie brak i eksponatów z okresu tworzenia Wojska Polskiego we Francji, o czym pisaliśmy swego czasu na łamach „Syreny”. Ponad 6000 przedmiotów czeka jeszcze na zainwentaryzowanie.

W ciągu ub. kadencji wpłynęło do muzeum jako dary 160 przedmiotów, a 117 złożono do depozytu, przy czym te ostatnie przedstawiają dużą wartość zabytkową.

315 eksponatów w postaci pamiątek z ostatniej wojny oraz pamiątek wojska polskiego z okresu przedwojennego wydzielono ze zbiorów muzealnych w Bancknock i przesłano niedawno do Szwajcarii do odradzającego się muzeum polskiego na zamku w Rapperswilu.

Podkreślić trzeba, że Instytut odgrywa w Londynie dużą rolę jako ośrodek życia kulturalnego Polaków. Dość powiedzieć, że w roku sprawozdawczym odbyło się w Instytucie aż 160 zebrań o różnym charakterze a głównie odczyty, wykłady i wieczory dyskusyjne.

Jeśli chodzi o działalność wydawniczą, to w maju 1954 r. ukazała się drukiem książeczka poświęcona pamięci Gen. Sikorskiego.

W listopadzie ub. roku sama sekcja wojskowo-historyczna przy Instytucie wydała drukiem trzeci z kolei tom wielkiej pracy historycznej pt. „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej”.

Stale wychodzi „Bellona”, a w końcu drugiego kwartału 1955 ukazał się podwójny numer wydawnictwa „Broń i Barwa”, traktującego o mundurowości i broniownictwie.

W gmachu Instytutu w Londynie oraz w siedzibie muzeum w Bancknock w Szkocji rozgłaszano w ubiegłej kadencji szereg wystaw m. in. wystawę pamiątek z bitwy o Monte-Cassino.

Na odbytym niedawno dorocznym posiedzeniu Rady Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego przyjęto do wiadomości sprawozdanie Instytutu i udzielono Zarządowi absolutorium. W wyniku wyborów na czele Rady pozostał Lord Elgin, piastujący tę godność od lat dziesięciu, a wiceprezesami amb. E. Raczynski i Lord Burnby. Na czele Zarządu Instytutu stanął ponownie, jako jego przewodniczący, gen. prof. dr Marian Kukiel, wiceprezesem jest Lord Burnby, hon. skarbnikiem — pik S. Zamoyski, hon. sekretarzem — inż. S. Leśniowski; gen. T. Bór-Komorowski, ksząże S. Radziwiłł i prof. S. Stroński — są członkami zarządu. Dyrektorem Instytutu jest pik dypl. Z. Borkowski.

Poważnym osiągnięciem w dziele zabezpieczenia nagromadzonych przez Instytut zbiorów jest zakup przez Zarząd Główny SPK domu w Bancknock, w Szkocji, w którym się mieści muzeum i biblioteka i oddanie go w całości do dyspozycji Instytutu.

Piękne wyniki działalności Instytutu, który rozporządza niestety skromnymi bardzo funduszami, dały się osiągnąć dzięki ofiarnej pracy garstki jego pracowników.

Zwycić należy nadzieję, że społeczeństwo polskie na emigracji nie zapomni o tej tak ważnej naszej placówce kulturalnej i poprze ją w postaci zapisywania się na członków Instytutu, a jest on niezaprzeczalną skarbnicą pamiątek polskich, z której emigracja może być tylko dumna.

Wacław SIKORSKI

Nowe formy wywożenia ludności do Rosji

Wywożenie ludności z dawnych polskich województw wschodnich w głąb ZSRR trwa w dalszym ciągu, przybrało ono tylko inne formy. Poza wywózki aresztowanych i skazanych na pracę w obozach sowieckich, najbardziej praktykowanym sposobem pozbywania się rdzennej ludności, w szczególności zaś pozostających na Ziemiach Wschodnich Polaków, jest werbowanie wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych robotników na wyjazd do różnych republik sowieckich, a w szczególności do północnej Syberii i Kazakstanu. Nie trzeba dodawać, że werbunek ten tak dla starszych jak i dla młodzieży ma charakter przymusowy, gdyż w większości wypadków Partia i Komsomoł oraz lokalne Sowiety wyznaczają osoby, które pojedynczo lub z rodzinami mają wyjechać na pracę. Wyznaczonym zaś nic innego nie pozostaje, jak na zebraniach publicznych zachęcać innych do pójścia w ich ślady.

W całej tej akcji werbunkowej szczególnie żywy udział biorą radiostacje. I tak np. „Radio Stanisławów” w audycji z 19 maja br. podało, że „Apel komsomolców kijowskich i młodzieży w sprawie skierowania na stałą pracę w radzieckich kopalniach węgla znalazł żywy odzew wśród młodzieży ziemi stanisławowskiej. Organizacje komsomolskie okręgu otrzymują deklaracje młodych robotników, kołchoźników i zdemobilizowanych żołnierzy z prośbą o skierowanie ich do pracy w Związku Radzieckim. Wczorajszego wieczoru w kinie „Pionier” w Stanisławowie odbył się mityng młodzieży stanisławowskiej, poświęcony pożegnaniu ochotników, udających się do pracy w przemyśle węglowym”.

Radio kijowskie, które razem z radiem lwowskim poświęca wiele czasu akcji „dobrowolnego” wyjazdu starszych i młodszych robotników do pracy w ZSRR, podało w jednej z audycji: „Z dworca w Zdobunowie wyruszył wczoraj transport przesiedleńców, składający się z 182 rodzin kołchoźników, robotników i urzędników z rejonu Sarn, Rafałowa, Kostopola i innych miejscowości poleskiego rejonu. Przed wyjazdem, na stacji odbył się wielki mityng. Przesiedleńcy dali wyraz gorącemu życzeniu trudzenia się na ziemiach nowych. Za kilka dni do okęgów pawłodarskiego i akmolniskiego wyjedzie jeszcze 220 dalszych rodzin z Wołynia”.

Również „Radio Łuck” nadało niedawno wiadomość, że grupa dziewcząt wołyńskich przysłała telegram z Kustanajskiego okręgu do młodzieży Wołynia, w którym zawiadamia „Wyorałyśmy po 900 — 1000 hektarów. Zarabiamy od 1.500 do 2.000 karbowanów”.

Również „Radio Łuck” nadało niedawno wiadomość, że grupa dziewcząt wołyńskich przysłała telegram z Kustanajskiego okręgu do młodzieży Wołynia, w którym zawiadamia „Wyorałyśmy po 900 — 1000 hektarów. Zarabiamy od 1.500 do 2.000 karbowanów”.

Bierutowcy albo są jeszcze w tej fazie „niewyżycia rewolucyjnego” rewolucji, której nie było, bo nie można nazwać okupacji — rewolucją, albo co gorsza, konsekwentnie dążą do likwidacji polskości na rozkaz teje samej czerwonej Moskwy, pielęgnującej tradycje historyczne carskiej Rosji.

Nieraz na łamach „Syreny” wskazywaliśmy na symptomy rusyfikacji Kraju, podkreślając, że jest to praca długofalowa bez względu na takie czy inne „taktyczne odwilże”, jak to rzekomo ma obecnie miejsce.

Opisany wyżej wyskok Polewki jest jednym z przykładów tej „akcji niwelacyjnej”. Jest ich wiele, wymienimy chociażby podręczniki szkolne. To inna, ale o ilez groźniejsza, bo utrwalona na papierze, forma „roboty polewkowej”.

Odwilż zatył odwilża, ale nie zapominajmy, że gdy potym mroz chwyć, to o wiele więcej ludzie łamię sobie ręce i nogi.

Rep.

ów na miesiąc. Przyjeżdżając do nas na pracę”. W innej audycji tej samej radiostacji kilkakrotnie cytowano wypowiedź niejakiej Kseni Miakotowej z Wołynia, udającej się do Kazakstanu. Oświadczyła ona m. in.: „Zwróciłam się do komitetu rejonowego Komsomołu z prośbą o wysłanie mnie do Kazakstanu. Młodzież Wołynia należała zawsze do pierwszych szeregów budowniczych komunizmu. Oznacza to, że na ziemię dziewczęta Kazakstanu przyjedzie jeszcze dużo chłopców

i dziewcząt z Wołynia. Będziemy was oczekiwać, drodzy druhowie!”.

Władze sowieckie prowadzą również akcję werbunkową na Litwie. Duży odsetek zwerbowanych pochodzi z północy młodzieży. W ostatnich kilku miesiącach — jak informuje radio wileńskie — w miejscowościach Onikszty, Szawle, Orany, Troki zwerbowano wiele osób. W samym Wilnie na wyjazd do sybirskich rejonów „zgięło się” w marcu około 1.000 chłopców i dziewcząt. (FEP)

POLSKIE STROJE LUDOWE



Wołyniacy

CIEKAWOSTKI

SRODKI NA KATAR

Nie jest to właściwie choroba. Tylko przykra dolegliwość. Bardzo przykra. W dodatku medycyna, która uporała się z takimi groźnymi chorobami jak zapalenie płuc, gruźlica, tyfus i tyle innych — jakoś otąd nie umiała sobie poradzić ze zwykłym katarzem. Leczą to, z dwóch stron nawet, sygnalizując odkrycie „cudownego” lekarstwa, działającego pono niezawodnie. Lekarze amerykańscy stwierdzili, że katar wprost „ulatnia się” gdy chory używa chustki do nosa, stale suszonej przy ogniu aż do momentu, gdy się zaczyna czuć zapach spalenizny. Nie umieją wytłumaczyć przyczyny tego dziwnego zjawiska, lecz stwierdzają, że setki przeprowadzonych eksperymentów zgodnie potwierdzają skuteczność tej metody.

Radzimy więc zakatarzonym zaryzykować... istnienie jednej chustki do nosa.

Inny środek proponują lekarze niemieccy. Oznajmniają oni, że spożywanie rzeżuch (po francusku cresson) ze względu na wchodzące w skład tego ziela związki chemiczne (tromalyte, aktywne antybiotyk!) — daje nieoczekiwane dobre skutki, pozwalając szybko pozbyć się dokuczliwego „kapania z nosa”.

A więc — niech żyje sałata!

BATERIA „SILVERCEL”

Najmniejsza w świecie bateria elektryczna jest używana w wojsku amerykańskim do „specjalnych celów” baterijka „Silvercel” — skonstruowana ze srebra i z cynku, a mogącą dostarczać prąd przez rok bez ponowne-

go ładowania mimo, że jej długość równa się... połowie długości zapalki, podczas gdy grubość bardzo nieznacznie przekracza grubość teje zapalki.

Oczywiście, służy ona do zapalania małych żarówek, a nie wielkich lamp, ale jest tak wygodna i tak ekonomiczna, że istnieje projekt rozpoczęcia produkcji masowej dla użytku powszechnego.

Wacław SIKORSKI

„Niesposób lepiej”...

Podzielił się we właściwym czasie z Czytelnikami radosną nowiną, że firma Ducretet-Thomson nagrała na płycie microsillon (LP 8737) szereg utworów Chopina we wspaniałym wykonaniu mistrza Zygmunta Dygata. Miło nam jest zakomunikować, że gra znakomitego polskiego pianisty spotkała się z entuzjastyczną oceną również i w prasie francuskiej. Oto na przykład fragment z recenzji, umieszczonej w tygodniku „Air de Paris” z 28 czerwca br.:

„Oto płyta wręcz wspaniała... Niesposób zagrać dzieła naszego wspólnego rodaka — Polaka i Francuza — Fryderyka Chopina lepiej od p. Dygata. Oto prawdziwy mistrz! Zresztą, czyż nie był on ulubionym uczniem niezapomnianego Paderewskiego? Zgmunta Dygat nosi w sobie i wyraża w sposób niezrównany więcej prawdziwej muzyki niż którykolwiek z tych słynnych — również polskich — pianistów, którzy „posługują się” Chopinem we

wszystkich końcach świata. P. Dygat jest bardzo wielkiej miary poetą; ma wszystkie niezbędne talenty i cnoty, zaczynając od cudownej a jakże rzadkiej dyskrekcji, która każe wykonawcy usunąć się w cień, by tym lepiej służyć wykonywanemu utworowi. Bolesna a płomienna namiętność, męska duma, polot nokturnu — i te jakby złamane zakończenie. Tysiąc odcieni kolorystycznych, solidne i giętkie rubato, zawsze zaznaczone ale i urozmaicone, ta ani za wiotka ani za stytwna w rytmie a nigdy nie monotonna poezja mazurka cis moll. Świeża młodzież, równowaga i rytm mazurka d dur, z tym wymownym lecz jakże subtelnie zaznaczonym powtarzaniem nuty tragicznej. Wreszcie — ta kołysanka, jakby czułe jakieś zwierzenie! P. Zgmunta Dygat wyraził całą bratnią duszę Chopina. Jako pianista, jako muzyk, jako poeta dał — w dźwiękach — prawdę Chopina”.

SWOISTA LEKCJA HISTORII

Dokończenie ze str. 1-2 regi do walki z rewolucyjnym ruchem robotniczym”.

To tylko próbka tego ordynarnego zaplufania się w nienawistną do wszystkiego, co polskie i co stanowi o naszej sile trwania i oporu narodowego.

Nie trudno się domyślić, że tej ciemnej przeszłości przeciwstawia Polewka „dzisiejszy raj” Polski Ludowej w tym że samym Krakowie, powiększonym o Nową Hutę.

Ale nie to jest ważne. Jest zupełnie zrozumiałym, że bierutowiec będzie piał na cześć osiągnięć reżymu.

Ważnym i niepokojącym jest systematyczne tepienie wszystkich polskich wartości.

Pod tym względem aparat reżymowy idzie dalej niż Moskwa. W Rosji komunistycznej po zamrozczeniu rewolucyjnym nastąpiła dość szybko reakcja, która wyraziła się m. in. w tym, że wielkie wydarzenia, czy postacie historyczne, wróciły na odpowiednie piedestały.

Pocieszający objaw troski o inwalidów

Organizacje polonijne w Stanach Zjednoczonych wysyłają od czasu do czasu swoich delegatów na kontynent europejski, by ci na miejscu zapoznali się z potrzebami naszych rodaków, czy organizacji. Mają wtedy sprawozdania naoczny świadek i mają możność realnej oceny potrzeb.

W ostatnim etapie swojej podróży po kontynencie p. Władysław Zachariasiewicz, sekretarz generalny Komitetu Imigracyjnego w Nowym Jorku, odwiedził Polski Związek Inwalidów Wojennych we Francji i wziął w dniu 27.6 br. udział w specjalnym zebraniu Zarządu Związku Inwalidów Wojennych, na którym byli również obecni wiceprezes CZP p. Piotr Kalinowski oraz sekretarz gen. CZP kpt. Roskosz.

Na tym zebraniu p. Zachariasiewicz szczegółowo zapoznał się z gospodarką finansową Związku Inwalidów, jego potrzebami i osiągnięciami. Zarząd przedstawił szczegółowo p. Zachariasiewiczowi wszystkie potrzebne dane, poparte wykazami członków, odpowiednimi dowodami itd.

P. Zachariasiewicz z żywym zainteresowaniem wysłuchał sprawozdań, nad którymi wywiązała się ożywiona dyskusja, zwłaszcza nad pomocą dla najbardziej potrzebujących członków. P. Zachariasiewicz zapewnił członków Zarządu Pol. Zw. Inw. Woj. we Francji, że doloży wszelkich starań w czynników amerykańskich i polskich w USA, by przedstawić ciężki stan inwalidów — b. żołnierzy polskich we Francji, tym bardziej że liczba ich dochodzi do 400 (na 1000 inwalidów polskich zarejestrowanych w Związku).

W końcu zebrania p. Zachariasiewicz wręczył skarbnikowi Związku sumę 270 dolarów (93.790 fr.) pochodząca od Polskiego Połączonego Towarzystwa w Nowym Jorku i przeznaczona na cele doraźnej pomocy dla najbardziej potrzebujących członków. Za tę pomoc składamy zarządowi Polskiego Towarzystwa Połączonego, ofiarodawcom oraz p. Zachariasiewiczowi serdeczne „Bóg zapłać”. Pomoc ta jest b. pocieszającym objawem troski o inwalidów ze strony organizacji Polonii

amerykańskiej i naszego społeczeństwa uchodźczego na terenie Ameryki. Oby ta troska pogłębiała się coraz bardziej.

B. Jagiełłowicz, wiceprezes Pol. Zw. Inw. Wojen. we Francji

Z żałobnej karty

s.p. GILBERT ESNEY

W dniu 22 czerwca w miejscowości Medavy (Orne), w okolicy Chambois, odbył się pogrzeb śp. Gilberta Esney, żołnierza 2-go pułku zouave, który zginął śmiercią żołnierza, w Oranie w dniu 30 maja.

Delegacja Koła SPK oraz Polaków z Potigny była obecna na pogrzebie; dwa piękne wieńce z żywych kwiatów zostały złożone w imieniu kombatantów, przyjaciel polskich; nad grobem przemówił kolega Barylak, prezes Koła SPK.

Polonia Normandzka traci w Zmarłym wielkiego przyjaciela. Śp. Gilbert Esney był synem p. Marcel Esney z Chambois, który rok rocznie tak serdecznie przyjmował na swej fermie nie tylko Polaków z Normandii, lecz także naszych rodaków przybywających z północnych departamentów Francji.

Osobom, które złożyły ofiarę na zakup kwiatów, serdeczne podziękowania składa Koło SPK w Potigny.

Pielgrzymka do Aubérive

W ramach uroczystości kombatanców organizuje się wycieczkę autokarami na pola walk b. Armii Gen. Hallera, połączoną z złożeniem hołdu poległym Hallerczykom oraz Grenadierom 1-ej Dywizji, którzy spoczywają na cmentarzu w Aubérive.

Zgłoszenia na wyjazd z Północnej Francji kierować należy do „Cafe Kazmierz”, p. Żołnierkiwicz, oraz do „Hotelu Polskiego” p. Pietrusiaka w Lens.

Stroną techniczną zajmuje się p. Jan Roskosz, który również osobiście zbiera zapisy.

Wschodnia Francja oraz Okręg Paryż zorganizują wyjazd we własnym zakresie, tak by przybyć do Aubérive na godz. 11-tą.

Program, w zarysach ogólnych, przedstawi się następująco:

— Przyjazd do Aubérive o godz. 11; — złożenie kwiatów w stóp pomnika przez poszczególne delegacje;

— Msza św. połowa na cmentarzu; Po uroczystościach nastąpi w pobliższym lasku wycieczka i posiłek w własnym zakresie. Bufet zorganizuje grupa „Troyes”. Na polance przygrzewać będzie orkiestra, oraz śpiew piosenek żołnierskich;

— o godz. 16 wszyscy uczestnicy udadzą się na zwiedzenie Reims;

— o godz. 17,30 grupa „Północ” odjedzie do Jonchery s/Vel;

— o godz. 18,30 w Hostellerie-Ambassadeur odbędzie się wspólna kolacja i wypoczynek w parku.

Godzina odjazdu podana będzie na miejscu przez kierownictwo wycieczki. Dla uczestników z Północnej Francji koszt przejazdu w obie strony i wspólnej kolacji wynosi 1750 franków od osoby.

Uwaga: Sztandarowi Organizacji kombatanców i innych są proszeni o zabranie sztandarów.

Koszt przejazdu z Troyes, Wschodniej Francji i w. Paryża ustalają organizatorzy według warunków miejscowych.

KOMITET ORGANIZACYJNY.

Uwaga b. deportowani!

W związku z rozesłanym okólnikiem przypominamy ogółowi deportowanych i więźniów politycznych, że w myśl niemieckiej ustawy o odszkodowaniach za deportację, ostateczny termin wnoszenia podań upływa z dniem 30 września 1955.

Przy tej okazji raz jeszcze podajemy, że sprawami tymi zajmują się adwokaci obeznani ze sprawą, a między innymi: mec. Bogdan Gajewicz, 13, rue de la Comete, Paris VII, chez Mr. Berthelet; mec. Jagoszewski — 23, quai de la Tournelle, Paris V; mec. B. Kobrynier — 116 bis, Av. des Champs Elysées, Bureau 432, Paris VIII; mec. E. Szabelska — 18, bld Pereire, Paris XVII; Sprawami tymi zajmuje się ponadto United Restitution Office, 19, rue Téheran, Paris VIII.

Zarząd Pol. Zw. b. Deportowanych

CHATEAUXROUX. — Zarząd Stow. Rez. i b. Wojsk. ma zaszczyt zawiadomić wszystkich rodaków w okolicy, że dnia 14 sierpnia br. o godzinie 16-ej w „Cafe de Tivoli” des Marins, Route de Chatelleraut 2, odbędzie się uroczystość „Święta Żołnierza” połączona z akademią. Informacji osiągnąć można u sekretarza Koła pod adresem: Marian Zakrzewski, 12, rue Descente de la Ville, Chateauxroux. Po uroczystości zabawa taneczna do rana.

Zebranie miesięczne Koła odbędzie się 7 sierpnia br. o godzinie 15-ej w „Cafe du Marche”. O punktualności przybycie proszę!

Zarząd.

Ku pamięci działacza-robotnika

Doszła mnie smutna wiadomość: zmarł nagle znany działacz społeczny, wywodzący się ze środowiska robotniczego, a do ostatnich chwil życia — mimo wieku lat 74 — biorący czynny udział w polskim życiu emigracyjnym, śp. Roman Baraniecki. Pogrzeb odbył się 30 czerwca.

Śp. Romana Baranieckiego poznałem w 1928 roku w Związku Tow. Kulturalno-Oświatowych im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Do Związku tego wciągnął mnie ówczesny prezes, red. Wacław Budzyński, który zginął w powstaniu warszawskim. Roman Baraniecki, II-gi wiceprezes, pomagał mi w prowadzeniu instruktoratu organizacyjnego i teatralnego. Był to czasy, kiedy w okręgu paryskim przeby-

Robotników, które 30 lat temu założył — zachowało nazwę „imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego”. Zajmował się żywo jego działalnością, zwłaszcza w dziedzinie teatralnej, umiał ściągnać na rue Basfroi młodzież, do ostatniej chwili snuł śmiało projekty na przyszłość.

Nie będę wspominał jego działalności podczas okupacji i udziału w oswo-bodzeniu Paryża, zostawiając to ówczesnym kolegom. Zakończę tylko stwierdzeniem, że Roman Baraniecki był jednym z tych, którzy całkowicie, bezinteresownie, z największym poświęceniem, z uszczerbkiem dla zdrowia i mienia służyli sprawie — a którym się potem żadnych pomników nie stawia.

s. † P.

Roman Baraniecki

Uczestnik walk o niepodległość w latach 1918/20, długoletni prezes, czynny i honorowy, Stowarzyszenia Rzemieślników i Robotników Polskich im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Francji, odznaczony wieloma orderami polskimi i francuskimi — zmarł nagle w Paryżu dnia 26 czerwca br., przeżywszy lat 74.

Po nabożeństwie żałobnym, które zostało odprawione w Kościele Polskim w Paryżu w dniu 30 czerwca br., Zmarły pochowany został na cmentarzu Pantin.

Cześć Jego pamięci!

Polski Związek Inwalidów Wojennych we Francji

wało kilkadziesiąt tysięcy Polaków nie należących do żadnych organizacji i nie interesujących się polskim życiem społecznym. I właśnie na tej pustce umieliśmy, wraz ze śp. Baranieckim stworzyć 18 towarzystw. Zarówno swoje jak nieraz i moje wydatki Baraniecki pokrywał z własnej kieszeni; potrafił dać na rzecz tworzącego się towarzystwa lub też na sztandar całotygodniowy swój zarobek robotniczy. Gdy inni ciułałi majątki, on wszystko oddawał na polskie cele społeczne! W dowód uznania, delegaci 24 Towarzystw im. Józefa Piłsudskiego wybrali go w 1930 roku presem Okręgu Paryż.

Marszałka Józefa Piłsudskiego śp. Roman Baraniecki czcił bez zastrzeżeń. Widział w nim wzór, wzór człowieka, poświęcającego wszystkie swe siły Ojczyźnie. Gdy więc, w zmienionych warunkach politycznych, przyszedł zmierzchni tak ongi silnego i żywotnego Związku, Zmarły czuł nad tym, by Towarzystwo Rzemieślników i

Przykro mi było — jak również kol. Janowi Kończakowi, prezesowi paru istniejących obecnie Towarzystw im. Józefa Piłsudskiego — że nie mogliśmy oddać Zmarłemu ostatniej przysługi. Toteż, by uczcić Jego pamięć, przekazujemy na ręce Komisji Oświatowej pewną kwotę pieniężną, która niech dopomoże polską młodzież wychować w polskim duchu.

Troyes. Mieczysław PRÓCH

Rocznica bitwy pod Falaise-Chambois

W niedzielę 14 sierpnia na polskim cmentarzu 1-ej Dywizji Panczernej w Langannerie odbędzie się obchód 1-ej rocznicy bitwy pod Falaise-Chambois. Uroczystość ta będzie, jak rok rocznie, wielką manifestacją polsko-francuską, w której udział wezmą przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych polskich i francuskich. Koło SPK Potigny apeluje do wszystkich związków kombatanców o wzięcie udziału w tej uroczystości.

D. DOWOJNA-BIENAIME

Tłumacz Przysięgły

przy Sądzie 1-szej Instancji i Sądzie Apelacyjnym w Paryżu.

23, Quai de la Tournelle PARIS 5^e.

Métro: St-Michel, Pont-Marie lub Maubert-Mutualité.

Autobusy: 24, 63, 67, 86.

Telefon: ODEon 41-17.

BIURO PRAWNIKA w PARYŻU
Abs. Prawa Uniw. Paryskiego, doświadczony emigr. od 1924 we Francji
MARIAN JAROSZYK
Expert-Traducteur-Juré
34, rue de Maubeuge, 34, Paris 9^e
Telefon: TRU 68-88; metro: Cadet
TEUMACZANIE URZĘDOWE ważne w całej Francji.
SPRAWY: Metryk, ślubów, naturalizacji, pełnomocnictw na kraj, procesów sądowych, rent, wypadków, Dipisów, paszportów, certificat de coutume, podań do Ministerstw, Prefektur, Konsulatów amerykańskich i innych. **Piszcie z zaufaniem.** Natychmiastowe załatwienie w Paryżu bez potrzeby przyjazdu

HUMOR

Między lekarzami

— Jak pan ustala, panie kolego, wysokość należnego za leczenie honorarium?

— Pytam pacjenta, jakiego gatunku wino pije przy obiedzie.

Sprostowanie

— Jak nazywali się ludzie, którzy pierwsi latał?

— Według legendy byli to Dedal i Ikar.

— Niet! Dedalów i Ikarenko!

Logika

— Za co właściwie Iksiński dostał medal?

— On jedyny spośród kandydatów już posiadał odznaczenie; było więc naturalne, że go nie ominęto.

— A ten pierwszy medal, za co mu go dano?

— Widzisz, wtedy spośród wszystkich kandydatów on jeden nie miał jeszcze żadnego odznaczenia; więc siłą rzeczy pomyślano przede wszystkim o nim.

Nie w ciemie bity

Na poczcie. Urzędniczka wyjaśnia:

— Trzeba nalepić jeszcze jeden znaczek; list jest za ciężki.

Sprytники:

— Ale wtedy przecie będzie jeszcze cięższy!

Humor krajowy

— Jaka jest różnica pomiędzy świnia a sklepem masarskim?

— Wiem: świnia ma dużo słoniny i mały ogon, a sklep duży ogon i mało słoniny!

Niespodzianka

— Jutro są imieniny mojej żony; sprawię jej wielką niespodziankę: kupię jej w prezencie chusteczkę.

— To ma być niespodzianka?

— Tak, bo ona spodziewa się futra.

PRZYBYWAJĄCY DO PARYŻA! Przy pobycie lub przy przejeździe przez Paryż, odwiedź

OGNIKO DOMU KOMBATANTA W PARYŻU

20, rue Legendre, Paris 17. Métro Villiers. Tel. Wag 00-45.

RESTAURACJA — KAWIARNIA — CZYTEL尼亚

DOSKONAŁA POLSKA KUCHNIA

Ceny umiarkowane. — Miła atmosfera

Każdej niedzieli **dancing** od godz. 20 do 24. Znajdziesz porady i wskazówki odnośnie pobytu we Francji.

JEDYNA POLSKA FABRYKA WĘDLIN W PARYŻU

kierowana przez byłych kombatantów

„REX”

16, rue des Boucheries, St-Denis (Seine). Tel.: PLA 05-54
ROK ZAŁOŻENIA 1929

Poleca wszystkie wędliny polskie w najlepszym gatunku, wyrabiane przez specjalistów dyplomowanych z Polski. **SPRZEDAŻ WYŁĄCZNIIE HURTOWA I EKSPORT.**

Żądajcie wyrobów firmy „REX” w pierwszorzędnych sklepach francuskich i rosyjskich, a szczególnie w jedynym polskim sklepie spożywczym w Paryżu, pod kierownictwem p. Lebiody:

4, rue de Fourcy, Paris 4^e. — Métro: Saint-Paul.

Kancelaria prawna

pod kierownictwem doktora praw

S. OLSNICKI

TEUMACZ PRZYSIĘGŁY PRZY SĄDACH FRANCUSKICH

106, RUE JOUFFROY, PARIS 17^e.

Métro: WAGRAM. — Tel.: WAGram 88-91.

Tłumaczenia urzędowe do ślubów, naturalizacji, emigracji i t. d.

Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce. Pełnomocnictwa.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 20, rue Legendre — Paris (17^e)

Telefon: WAGram 00-45. Konto czekowe: C.c. Paris 5507-30
OGŁOSZENIA: 1 cm 1-lamowy 180 fr. W tekście 50%, na 1-ej stronie 100% drożej.
DROBNE OGŁOSZENIA: Poszukiwania pracy: 100 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 20 fr.
Zaofiarowanie pracy: 200 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 40 fr. Sprzedaż-kupno: 300 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. Matrymonialne: 300 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 70 fr. Reklamsów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności. ● PRZEDSTAWICIELSTWA: Francja Północna: Inż. Eugeniusz Tuszcowski, 107, rue Royale, Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône). Belgia i Luksemburg: Mme Janina Korab-Brzozowska Csaky, 62, rue Vanderkinderere, Uccle-Bruxelles, c.c.p. 7315-20. W. Brytania: Zarząd Gł. S.P.K. (dla „Syreny”), 18-20 Queen's Gate Terrace, London S.W.7., gotówka lub Postal Order. Szwajcaria: Mr. Rakowski Janusz, Winterthur/Zch, Stadthausstr. 97. Stany Zjednoczone A. P.: Gryf Publications, 808 Wager St., Utica, N.Y. ● WARUNKI PRENUMERATY: We Francji: Rocznie 800 fr., 1/2-rocześnie 400 fr., kwartalnie 200 fr. Pojed. numer 20 fr. Zmiana adresu 30 fr. W Belgii: Rocznie 170 fr., 1/2-rocześnie 86 fr., kwartalnie 45 fr., miesięcznie 15 fr., pojedynczy numer 4 fr. W Anglii: Rocznie £ 1.6.0, 1/2-rocześnie 13 sh., kwart. 6sh 6d., poj. nr 6d. W Szwajcarii: Rocznie 12 fr.szw., 1/2-rocześnie 6 fr.szw., kwart. 3 fr.szw. W Niemczech: Rocznie 20 DM, 1/2-rocześnie 10 DM, kwart. 5 DM, nr poj. 50 Pfenn.

Imp. (Druk) S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris 20^e — Dir.-Gérant: Inż. M. Serafiński